

MAVRYCY LEBLANC



POWIEŚĆ

**POSŁANNICTWO
Z PLANETY WENUS**

GLOBUS 1921.

Handwritten:
B. Herb. ...
1421.

**POŚLANNICTWO
Z PLANETY WENUS**

WYDAWNICTWA „GLOBUSA“

DZIAŁ BELETRYSTYCZNY

A) POWIEŚCI

DE COSTER C. Dyl Sowizdrzał (wyczerpane)

KORWIN J. Humoreski (wyczerpane)

KOSSAK-PEŁEŃSKA J. Na falach życia

KSAWERY MARJAN. Nasze dole

LEBLANC M. Posłannictwo z planety
Wenus

ŁOMNICKI W. W śmiertelnych zapasach
(wyczerpane)

MALEWICZ J. Dziewczę z buzią jak malina

TOKARSKI ST. Na wzburzonej fali

TOPIEL T. Życie wojujące

ŻALNY S. W godzinę chuci

ŻMUDZKI W. Bór

— Trędowaty (z pamiętnika
psychopaty) (wyczerpane)

B) POEZJE

NEUMANOWA A. Tobie Ojczyzno

C) DLA MŁODZIEŻY

KRÓLIŃSKI K. Na daleki wschód

ŁUBIEŃSKA — WENTWORTH A. Kontusik królowej Jadwigi (polecona na nagrody przez Radę Szkolną)

* * * Balonem do bieguna

MAURYCY LEBLANG

POSŁANNICTWO Z PLANETY WENUS

ROMANS FANTASTYCZNY Z KOŃCA
XX WIEKU — WYDANIE DRUGIE



WYDAWNICTWO „GLOBUS“ — WARSZAWA 1921

2-08/1092/4 - M. Rozmarynowicz



3. II.

[10.]

K 396183
1103849 u

WSTĘP.

Pod koniec XX wieku na murze budynku, gdzie znajdowały się laboratoria znanego fizyka Noela, Dorgeroux — poczęły się ukazywać niezwykle ożywione obrazy przedstawiające zarówno sceny z epoki współczesnej jak wypadki z lat minionych. Dziwne te wizye poprzedzało zawsze pojawienie się trojga dziwacznych, niesamowitych oczu, rozmieszczonych z niezmienną geometryczną dokładnością w trzech kątach trójkąta.

Siostrzeniec starego uczonego Wiktorvn Beaugrand, który dopiero w wiele lat później jął opisywać wypadki, jakich był świadkiem w młodości, napróżno usiłował wydobyć od wuja rozwiązanie zagadki. Stary uczonev zazdrośnie bronił swego sekretu, a to z dwóch powodów: przedewszystkiem pragnął tajemnicę niezwykle obrazów wyeksploatować dla celów dochodowych, budując olbrzymi amfiteatr, a powtóre czuł, że nieznani wrogowie szpiegują go i zagrożają jego bezpieczeństwu. Istotnie — przeczucia zle sprawdziły się... Na miesiąc przed otwarciem amfiteatru znaleziono go zamordowanego u stóp cudownego muru...

W tym samym czasie zniknęła w tajemniczy sposób chrześniaczka Noela Dorgeroux — Beranżera Massignac.. Wzbudziło to podeirzenie, iż młoda dziewczyna może być współniczką morderców. zwłaszcza, że jednego z nich niejakiemu Velmota widziano w towarzystwie panny Massignac. Wiktorvn Beaugrand, pomimo swej miłości dla pięknej Beranżerw, podeirzwwa ją o wsróudział w zbrodni, a bolesne te przypuszczenia nabieraia silnych cech prawdopodobieństwa, kiedy okazują się poszlaki, że dru-

gim mordercą jest Teodor Massignac, ojciec Beranżery — kierujący eksploatacją tajemnicy Noela Dorgeroux. To on otwiera amfiteatr! Wiktoryn Beaugrand od tego właśnie momentu zaczyna swój pamiętnik.

Rozdział I.

TLUM WIDZI..

Teodor Massignac siedział przy kasie. On to, jeśli zachodziła jakaś wątpliwość rozstrzygał ją. On sprawdzał bilety, on wskazywał drogę, rzucając kiedy niekiedy słówko uprzejme, aby po chwili wydać stanowczy rozkaz. A wszystko to czynił ze swoim wiecznym uśmiechem i impertynencką trochę nonszalancką. Na twarzy jego nie było ni śladu zakłopotania. Nie psuły mu dobrego humoru ani wrogie niekiedy uwagi wchodzących widzów, ani ich podejrzliwe spojrzenia, ani mniej lub więcej dyskretna kontrola policyantów, pilnujących każdego jego kroku...

Był nawet na tyle bezczelnym, że u wejścia kazał rozlepić wielkie jaskrawe afisze, na których widniała poważna, piękna głowa Noela Dorgeroux...

Oburzony do żywego widokiem tych afiszów, zbliżyłem się do niego na godzinę przed rozpoczęciem widowiska i wykrztusiłem drwiącym głosem:

— Zdjąć te afisze!.. Ja zabraniam!.. Wszystką inną niech będzie!.. Ale na taką bezczelność nie pozwolę!..

Udał niesłychane zdumienie:

— Bezczelność?.. Pan nazywa to bezczelnością, że ja chciałem uczcić pamięć wuja pańskiego, że zapragnąłem pokazać oczom ludzkim portrét genialnego wynalazcy, którego odkrycie wywołał przewrót w świecie? Ależ ja w ten sposób zamierzałem złożyć należny mu hołd!..

Wyprowadzany z równowagi, mruczałem:

— Zabraniam... zabraniam... Nie zgodzę się na popełnienie tej jeszcze podłości!...

— Ależ owszem, owszem — roześmiał się Massignac — zgodzi się pan tak jak na wszystko inne!... To tylko cząstka całości, mój drogi panie!... To mała pigułka, którą musisz przełknąć... Wiem, że jedno słowo z twoich ust może mnie zgubić, ale pan tego słowa nie wypowiesz, bo wówczas wynalazek Noela Dorgeroux byłby nazawsze dla ludzkości stracony!... Wszak ja jedynie jestem posiadaczem jego tajemnicy... Velmot jest tylko maryonetką, narzędziem!... I Beranżera także... Skoro Teodor Massignac znajdzie się pod kluczem, żegnajcie czarodziejskie wizye, które wsławić macie nazwisko Noela Dorgeroux!... Żegnaj sławo!... Żegnaj nieśmiertelności!... Czyżbyś pan sobie tego życzył?

Nie czekając na odpowiedź dorzucił:

— A zresztą jeszcze jedna rzecz... młodzieńcze, wiem ja coś o tobie... Kochasz Beranżerę!... O nie zapieraj się!... Kochasz!... Jeśli mnie zadenuncyujesz — zgubisz zarazem i ją... Cóż, czy myślę się?... Ojciec i córka — to jak dwie głowy w jednej czapce... Trudno uciąć jedną — nie tykając drugiej... Zaczynamy rozumieć się, prawda? Tem lepiej. Wszystko będzie dobrze! Będziecie mieli dużo dzieci, a Beranżera dostanie ładny posąg! Tak Wiktorynie!

Spoglądał na mnie przez chwilę z szyderstwem. Zaciśnięwszy pięści, wyrzekłem z wściekłością:

— Nedzniku!... Łotrzel!...

Ludzie zbliżali się do nas. Obrócił się do mnie plecami, przyciem szepnął:

— Cicho Wiktorynie! Nie obrażaj teścia!...

Cała siła woli zapanowałem nad sobą. To nikczemne indywiduum miało rację. Potężne motywy zmuszały mnie do milczenia, tak że Teodor Massignac mógł doprowadzić swe dzieło do końca, nie obawiając się przeszkody z mej strony. Noel Dorgeroux i Beranżera bronili go!...

Tymczasem amfiteatr napełniał się. Długim szeregiem nadzieźdzałv automobile jeden za drugim, przywożąc uprzywilejowanych, którzy

mieli dość pieniędzy, aby sobie kupić miejsce za dwadzieścia ludwików. Finansisci, miliony, sławne gwiazdy teatrów, naczelni dyrektorzy pism, najslawniejsi literaci i artyści, potentaci handlu, sekretarze wielkich syndykatów robotniczych — wszyscy oni spieszyli gnani gorączkową ciekawością, na to niezwykle widowisko. Żaden program nie ogłaszał szczegółów. Nikt też nie wiedział z pewnością, czy tajemniczy wynalazek Noela Dorgeroux z stał istotnie w należyty sposób użytkowany. Zwłaszcza, że krążyły przypuszczenia, iż Teodor Massignac, chcąc wyludzić pieniądze, dopuścił się mistyfikacji. Wszakże na biletach i afiszach widniały te mało zachęcające słowa:

„W razie niepomysłnej niepogody bilety ważne są na dzień następny. Jeżeli z jakiegokolwiek innej przyczyny przedstawienie nie odbędzie się dyrekcyja pieniędzy nie zwraca.“

Wszystko było już gotowe. Teodor Massignac urządził wszystko i wykończył przy pomocy architektów i tapicerów według planów wypracowanych przez Noela Dorgeroux. O godzinie pół do szóstej wszystkie miejsca były już zajęte. Policya nakazała zamknąć drzwi wejściowe.

Tłum zaczynał się niecierpliwić. Dawało się odczuwać masowe zdenerwowanie.

— Jeżeli to się nie uda — rzekł jeden z moich sąsiadów — to będzie awantura!

— Tak — odparł jeden z dziennikarzy dobry mój znajomy — będziemy się awanturować. Ale nie tylko w tem leży niebezpieczeństwo dla czci-godnego Massignaca. On ryzykuje o wiele więcej

— Mianowicie? — zapytałam.

— Może dostać się do więzienia! Ratowała go dotychczas ciekawość powszechna!... Jeśli ta nie będzie zaspokoiona — to źle! Rozkaz aresztowania już podpisany!

Zadrzałem. Massignac aresztowany! — cóż za niebezpieczeństwo dla Beranżery.

— Bądź pan przekonany — ciągnął dalszy

dziennikarz — że Massignac wie doskonale, jak
ki miecz Damoklesa wisi nad nim!... Robi on
wprawdzie niesłychanie pewną minę, ja jednak
przeświadczony jestem, że w głębi duszy dygocę
cały...

Silniejszy pomruk przebiegł przez zgromadzo-
ny tłum.

Na dole Teodor Massignac pewnym krokiem
wkroczył do orkiestronu, prowadząc za sobą
dwunastu wysokich, dobrze zbudowanych dra-
bów, zaangażowanych jako funkcyjnarysty
amfiteatru.. Wskazał im dwie ławki specjalnie
dla nich przeznaczone i z najnaturalniejszą mi-
ną w świecie wydawał rozporządzenia. A miniu-
ta jego tak dobitnie wskazywała, co czynić
mają w razie, gdyby ktoś zamierzał zbliżyć się
do muru, że wśród publiczności ozwały się
krzyki protestu.

Massignac obrócił się w stronę widzów, by-
najmniej nie zmuszany i z taką miną wzruszył
ramionami, jakby chciał powiedzieć:

— Czego chcecie? Muszę przedsięwziąć środ-
ki ostrożności... Czy mi nie wolno?... Tłum na
chwilę uspokoił się, aby po upływie minuty
znowu wybuchnąć z tym większym hałasem:

— Podnieść kurtynę!... kurtynę!.. wolano.

Massignac spojrział na zegarek, wstał zwo-
ła, spokojnie, zbliżył się do muru i nacisnął
guzik elektryczny. Żelazna kurtyna opadła —
odslaniając w pełnym świetle niezwykle e-
kran. Dreszcz przebiegł przez widownię.. Ka-
żdy drżał ze wzruszenia na myśl, że będzie mu
danem asystować przy niezwykłym, tajemni-
czym widowisku, o którym tyle dziwacznych,
sensacyjnych krążyło wersyi.

Ja sam w tej chwili uroczystej zapomniałem
o wszystkich fazach dramatu, o mej nienawi-
ści do Massignaca, nawet o miłości do Beran-
żery — cała myśl moja skupiła się wokół ge-
nialnego wynalazku mego wuja.

Czyż cudowne wizje raz jeszcze pojawiają się,
aby uczynić nieśmiertelnym imię Noela Dorge-
roux? Czy słusznie postąpiłem rezygnując

zemsty na zbrodniarzu za cenę sławy, za cenę niesmiertelności dla wielkiego wynalazcy? Wszakże ukrywając przed spariedliwością ohydłą zbrodnię — stawiałem się niejako jej współnikiem... Zapanaowała cisza niezamącona żadnym szelestem. Wszystkie twarze napęchowane były najwyższem napięciem nerwów. Spojrzenia wbiły się w szary mur.

Wola tysięcy widzów jednoczyła się z wolą Massignaca, którzy stojąc z pochyloną naprzód głową, badał wzrokiem nieprzenikniony mur.

To on był tym, którzy pierwszy zobaczył światło. Krzyk wydarł mu się z piersi, a ręce frenetycznie uderzyły powietrze. Prawie w tejże samej chwili chór krzyków zabrzmiał wśród publiczności.

Tłum zobaczył: Troje Oczu!...

Troje Oczu zakresliło na ekranie regularny trójkąt. I nagle te oczy bez powiek, złożone z linii suchych symetrycznych napelnily się wyrazem, które je uczynił tak wymownemi, jak oczy człowieka.

Wyraz twardy, dumny z błyskami złośliwości. I zrozumieliśmy, że to jest spojrzenie jakiejś istoty — tym wzrokiem spoglądającej w życie istoty, która miała się nam dać poznać w życiu realnem...

Tłum nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia. Tłum czekał...

I wizya ukazała się jego oczom... Nagle ta cała gromada ludzka — zobaczyła drugą gromadę równie gęsto zbitą, której poruszenia mieszały się z jej własnemi... Prawie że słyszała szelest kroków i gwar tego drugiego tłumu odzianego w suknie, świadczące, że ci ludzie — są dziećmi trzynastego lub czternastego wieku.

Postacie w mniszach sutannach czuwały nad pracami robotników, wydając rozkazy i nie uchylając się niekiedy od popychania worków naładowanych lub ociosywania kamieni. Kobiety z ludu sunęły z dzbanami wina, nalewając je do kubków zmęczonemu pracownikom. Dwaj

śpiewacy śpiewali jakąś pieśń, wtórując sobie na gitarze. Trupa akrobatów w dziwacznych, jaskrawych kostymach przygotowywała się właśnie do wykonania swych produkcji, kiedy nagle obraz się zmienił...

Był to ten sam gmach zresztą, ale w stadyum daleko późniejszym. Wyraźnie już można było rozróżnić kształty świątyni gotyckiej. Ludzie, którzy pracowali nad jej wykonaniem, murarze, kamieniarze, rzeźbiarze, mnisi mieli już stroje zgoła odmienne. Dwa wieki upłynęły...

Obrazy zmieniały się jeden za drugim w taki sposób, że trudno było określić, kiedy się zaczyna a kiedy kończy wizya... I tak jak w kinematografie serya obrazów reprodukuje rozwój rośliny — tak samo w oczach naszych budowała się, wznosiła, wspaniała katedra. Nadeszła wreszcie chwila, kiedy wystrzeliła ku niebu w całym swym nieskazitelnym pięknie i wspaniałości. Była to katedra w Reims, ze swymi trzema portalami, z lasem posągów, ze strzelistymi wieżycami, okolonemi szeregiem małych wieżyczek z misterną koronką rzeźby — katedra w Reims, arcydzieło architektury, taka jak ją widywano przez całe wieki, nim ją zburzyła inwazyja niemiecka.

Tim patrzył z zapartym oddechem w piersi, przejęty mistycznym dreszczem. Wszyscy rozumieł i odczuwali, że są świadkami czegoś niezwykłego, nadziemskiego, że to co widzą, nie pozostaje w żadnym związku z fotografowanymi obrazami budującego się gmachu... Niezrozumiały cud jakś przenosił ich nagle w wieki minione, stawiając im przed oczy rzeczywisty obraz budującej się w średniowieczu świątyni. Tu nie miało się do czynienia ze sztucznie wywołanymi obrazami — to przeszłość sama wypurzała się z otchłani wieków, zwyciężając niepokonaną dotychczas zaporę Czasu!

Katedra w Reims przed naszymi oczyma żyła, oddychała — przez setki lat, nie tracąc nic ze swej piękności Zaklęta w kształt kamienny śpiewała hymn na cześć Boga, królując ponad

morzem domostw, które z biegiem czasu zmieniały swój wygląd, konstrukcję, architekturę...

Niejednokrotnie postacie ludzkie opierały się o poręcz którejs z zawieszonych w powietrzu galeryi, a według szat tych ludzi — można się było oryentować w biegu wieków. Przesunęli się przed nami obywatele z czasów przedrewolucyjnych, potem żołnierze napoleońscy z epoki Cesarstwa, później dzieci 19-go wieku, turyści, pątnicy i robotnicy, zajęci przy robotach nad odnowieniem katedry.

Ostatnie zjawisko ukazało nam grupę oficerów francuskich w mundurach polowych. Zgromadzili się oni w pośpiechu na szczycie wieży, przykładając do oczu lornety... Tu i ówdzie ponad miastem i okolicznymi wsiami snuły się małe okrągłe obłoczki, świadczące o wybuchu pocisków działowych.

Milczenie tłumu stawało się wprost zatrważające. W spojrzeniach malowało się osłupienie i niepokój najwyższy.

Wszyscy już wiedzieli, przeczuwali, co się stanie...

Pierwszy pocisk ugodził w północną część katedry. Uszkodzenia nie mogliśmy skonstatować, bo świątynia zwrócona była ku nam od zachodu. Ale błysnęło światło, jak błyskawica poprzedzająca burzę i słup dymu czarnego wzbił się w powietrze, wystrzelił ku niebu o czystym, jasnym błękitie bez chmur.

I zaraz potem padły jeszcze trzy pociski, powodując trzy eksplozje... Czarne gęste obłoki dymne zawirowały... Padł piąty pocisk — trafił w środek dachu. Buchnął płomień, katedra w Reims paliła się...

Wśród tłumu ozwało się kilka krzyków urwanych... dał się słyszeć jakiś spazmatyczny szloch kobiecy... Szósty pocisk ugodził statuę świętej o przecudnem, pełnem słodzczy i nadziemskiej dobroci obliczu... Arcydzieło natchnienia, piękności i wdzięku spowilo się w krwawe kotary płomieni i czarne zasłony dymu... Potem... ujrzelśmy zamiast posągu i mi-

sternie cyzelowanej niszy ziejący groza zniszczenia obraz...

W tej chwili uczulem, jak dokoła budzi się poryw gniewu i nienawiści... Zniszczenie posągu świętej wzburzyło tłum, a wizje rastopas potęgowały jeszcze wzburzenie... Katedra oddaliła się od nas, zmalala, a na pierwszy plan wystąpił pagórek ogrodzony drutami kolczastymi, usiany zwłokami ludzi i trupami koni, pocięty rowami. Szczyt pagórka umocniony był bastyonami i cementowemi fortifikacyami. Długi szereg armat, wielkich groźnych potworów — kierował swe mordercze paszcze w stronę miasta... żołnierze w niemieckich mundurach uwijali się wokół nich.

To była bateria bombardująca katedrę Reims.

W środku widniała grupa generałów z lornetkami w ręku. Przy każdym wystrzale przykładali oni szkła do oczu, poczem kiwali głowami z wyrazem oczywistego zadowolenia na twarzy.

Nagle wśród nich powstał jakiś wielki ruch. Wszyscy ustawili się w szeregu, sztywni, wyprostowani jak automaty — podczas gdy żołnierze nie przerywali obsługi armat.

Ukazał się automobil, eskortowany przez oddział kawalerzystów. Automobil zatrzymał się na platformie. Wsiadł mężczyzna w piketach, owinięty szeroką peleryną, trzymający rękę na rękojeści szabli.

Bardzo szybko szedł ku nam, aby wkrótce znaleźć się na pierwszym planie.

Poznaliśmy go... Wszak prawie każdy z nas widział jego portrety w starych czasopismach lub podręcznikach historii... To był „kaiser“ Wilhelm!...

Podał rękę jednemu z generałów. Inni oddawali mu sztywny ukłon wojskowy, poczem rozsunięty się uformowali półkole wokół Wilhelma i tego generała, któremu on podał rękę... Potoczyła się rozmowa. Generał po kilku wyjaśnieniach i wymownych gestach w kierunku

bombardowania miasta. Następnie kazał przynieść lunetę, do której „kaiser“ przyłożył oko.

Jedna z armat była gotowa do strzału. Rozkaz wydano.

Dwa obrazy przesunęły się przed nami: zobaczyliśmy rzeźbioną kamienną balustradę, walącą się w gruzy i w chwilę później Wilhelma Hohenzollerna prostującego się z miną dumną i tryumfującą!...

Widział! Widział!... i twarz jego zajaśniała wyrazem intensywnej radości. Zaczął mówić z zadowoleniem. Jego grube wargi, podkreślone wąsy, policzki porysowane zmarszczkami — wszystko to poruszało się jednocześnie...

Drugie działo czekało już gotowe... „Kaiser“ przestał mówić i spojrzał w stronę miasta, obracając w ten sposób głowę, żeśmy mogli zobaczyć wyraz jego oczu. Było to spojrzenie twarde, złe, pełne pychy i złośliwości... spojrzenie to samo, co u trojga oczu, poprzedzających pojawienie się wizyi... Rozjaśniły się te oczy. Ożywił je błysk złej uciechy. Te oczy widziały to, co i my w tej chwili! morze płomieni i zdruzgotane mury świątyni!...

I wtedy cesarz niemiecki wybuchnął śmiechem!... Zgiął się w pół ze śmiechu i brał się za boki otoczony swą wtórujących jego chichotowi generalów.

Śmiał się!... śmiał się!... Cieszyło go to, że słynna na cały świat katedra w Reims płonie! Że starodawna Bazylika, w której królowie Francji przyjmowali błogosławieństwo z rąk kapłana stała się pastwą zniszczenia!

Niemieckie działa druzgotały piękno i tradycję wieków!...

I on to zdziwiał Wilhelm Hohenzollern, cesarz niemiecki, król pruski, który pragnął zostać panem świata!...

Tłum uniesiony gniewem zapomniał, że to co widać — należy już do niepowrotnej przeszłości!... Zahuczał orkan krzyków, zacisnęły się groźnie pięści, zafalowało gwałtownie morze głów ludzkich...

Wózni musieli z wyczerpaniem całej siły stawiać opór publiczności, która jak oszalała ciągnęła się przez orkestrion w stronę muru...

Teodor Massignac odgradzony od widowni żelaznemi kratami, wstał, nachylił się i nacisnął guzik elektryczny. Żelazna kurtyna wzniosła się do góry...



Rozdział II.

MASSIGNAC PORWANY!

Następnego dnia obudziłem się rano z silnym bólem głowy. Noc miałem bardzo przykrą, bo trapiły mnie sny gorączkowe. Kilkakrotnie здавало mi się, że słyszę odgłosy detonacji...

Zmory senne — pomyślałem. To wizye wczorajsze wstrząsnęły moim umysłem, i dlatego śnią mi się wybuchy pocisków działowych...

Kiedy jednak wszedłem do jadalni zobaczyłem Massignaca, który już czekał na mnie pomimo wczesnej godziny. Ten łotr miał głowę obandażowaną!... Czyżby był raniony!...

Może te strzały, które niepokoiły mnie w nocy, nie były li tylko majaczeniem zgorączkowanego mózgu?

— Co panu się stało! — zapytałem.

— Ach! nic... głupstwo!... Proszę nie zwracać na to uwagi!... Zadrasnąłem się tylko! nic groźnego!... — zapewniał mnie z taką miną, jakby przypuszczał, że się istotnie o jego cenne zdrowie niepokoję!...

Podając mi poranne dzienniki, rzekł.

— Raczej przeczytaj pan to. Nasz mistrz tryumfuje...

Nie protestowałem. Tryumf mistrza jak to określił Massignac — i wzgląd na dobro Beranżery zamykały mi usta. Wiedział o tem nikczemnik i w domu Noela Dorgeroux zachowywał się, jakby u siebie, akcentując potęgę swoich praw i swoją wobec niego bezsilność. Jednakowoż poprzez jego aroganckie i beczelne zachowanie

się przebijają widoczne zakłopotanie i roztrągnięcie.

— Tak — rzekł, prostując się — Zwycięstwo zwycięstwo zupełne uznane przez wszystkich! Ani jednego zgrzytu niema w sprawozdaniu, ani jednej fałszywej nuty! Podziw jedynie i entuzjazm! Ci ludzie są oszołomieni, zahypnotyzowani!..

Stał przedemną i milcząc przez długą chwilę, spoglądał mi w oczy:

— No i cóż? Teraz kpię sobie ze wszystkiego! Formuła, która zawiera rozwiązanie zagadki, jest moją wyłączną własnością!.. Kryje się w głębi mego mózgu... Nikt nie zna jej oprócz mnie!.. I Velmot jej nie zna!.. Stalowa tabliczka Noela Dorigeroux? Stopiona!.. Instrukcje spisane na odwrotnej stronie portretu d'Alemberta? Spalone!.. konkurencji żadnej!.. A ponieważ ludzie dobijają się o bilety do amfiteatru, za dwa tygodnie będę miał milion w kieszeni!.. za miesiąc dwa miliony!.. a potem do widzenia!.. mój szanowni państwo!..

Pochwylił mnie za połv surduta i przybliżywszy twarz swoją do mojej twarzy, mówił przyciszonym głosem:

— Jedna rzecz trochę mnie „peszy“... Szkoda byłoby, aby te piękne obrazy zniknęły nazawsze, kiedy mnie nie będzie!.. Odkrycie Noela Dorigeroux nie powinno zagać! Nieprawdaż?... I wtedy pomyślałem o tobie, Beaugrand. Jesteś przecie jego siostrzeńcem... I kochasz moją drogą Beranzere... Przedzej lub później pobierzecie się!.. A przecież ja pracuję i zbieram dla niej, czyż nie wszystko jedno więc — za czyjem pośrednictwem — mojem lub twojem — dostaną się jej te pieniądze!.. Słuchaj więc uważnie tego co powiem!.. Zapisz sobie w pamięci każde słowo!.. Tam u dołu ekranu-muru po lewej stronie znajdzie się skrytka a w niej kilka kociołków miedzianych z różnemi substancjami, do których dolewa się płynu z małej fiołki. Płyn ten według przepisów formuły, twego wujka sroczadzą się w dzień seansu... Na godzinę lub dwie przed zachodem słońca tak spreparowaną

substancją smaruje się przy pomocy pedzla całą powierzchnię ekranu... Inaczej obrazy nigdy nie będą wyraźne. Przysięgam, trzeba uważać, aby chmury nie zakrywały słońca... Tylko w dni bezwzględnie pogodne, może się udać widowisko... Co zaś do samej formuły — to nie jest ona bynajmniej długa. Wszystkiego piętnaście liter i dwanaście cyfr...

Massignac powtórzył wolno, tonem niezdecydowanym:

— Piętnaście liter i dwanaście cyfr...

Skoro nauczysz się jej na pamięć, będziesz już mógł być spokojny!... I ja także... Zresztą nie ryzykuję przecież nic zdradzając ci to. Przysięgniesz, że dochowasz tajemnicy?... A przysięgam Beranżera... to cię powstrzyma — nieprawdaż?... A zatem, te piętnaście liter...

Wahał się widocznie. Słowa z coraz większym trudem dobywały mu się z ust. Nagle odepchnął mnie i w wybuchu wściekłego gniewu grzmotnął pięścią w stół:

— Nie! po stokroć, po tysiąckroć nie!... To byłoby nadto głupie!... Zachowam sekret dla siebie!... Niech się dzieje co chce!... Mam wypuścić z rąk interes za dwa miliony? ani nawet za dziesięć!... ani za dwadzieścia!... Będę pilnował muru w Enclos ze strzelbą na ramieniu — tak ja to już robiłem tej nocy... A któżkolwiek ośmieli się wejść, zabiję go jak psa!... Mur należy do mnie, do Teodora Massignaca!... Wara komu zbliżać się do niego!... To moja tajemnica!... moja formuła!... moja własność!... kupiłem ją za cenę krwi i będę jej bronił do ostatniego tchnienia!... A jeżeli... jeżeli dwabli mnie wezmą — to tem gorzej!... — sekret uniosę z sobą do grobu!...

Zacisnął pięść, wygrażając jakimś niewidzialnym wrogiem. Poczem zaczął znowu:

— Tak, jeżeli mnie dwabli wezmą... A na to zanoszę się... Aresztowanie... żandarmi... policja... kpie sobie z tego!... Nie ośmiela się mnie tknąć... Ale ten wróg kryjący się w mroku... ten morderca, który strzelał do mnie dzisiaj

w nocy... Słyszałeś strzały Wiktorynie Beau-grand?... Och! nic mi nie zrobił... Drasnął mnie tylko... ale i ja także chybiłem... No! może za drugim razem uda mi się lepiej... Aaa! nikczemnik!... lotr!...

Chwycił mnie za ramiona i jął gwałtownie mną potrząsać:

— I twój, Wiktorynie, i twój to także wróg... Ten człowiek w monoklu!... Pan Velmot! on chce mi ukraść sekret Noela Dorgeroux, a tobie kobietę, którą kochasz!... Pewnego pięknego poranku zechce on i z tobą porachować się!... A gdybym ci powiedział, że Beranżera go kocha? Aha! podskoczyłeś! Tak! kocha go!... Jest posłuszną niewolnicą Velmota... On ci ją zabrał! Rozbij mu czaszkę, jeżeliś mężczyzną a nie kurą zmokłą!... On tutaj jest... krąży po mieście... poznałem go tej nocy!... Och! Boże! wielki Boże!... gdybym mu mógł wpakować kulę w łeb!...

Massignac rzucił jeszcze kilka przekleństw pod adresem zarówno moim, jak i Velmota. Córkę nazwał zdrajczynią i niebezpieczną wartyką, zagroził mi, że mnie uśmierci — w razie najmniejszej niedyskrecyi, a wreszcie z pianą na ustach i zaciśniętymi groźnie pięściami wyszedł z pokoju — w pozie człowieka, który za chwilę gotów borykać się ze silnym przeciwnikiem.

Złorzeczenia Massignaca nie wzruszyły mnie. Jedynie zabiła o mnie brutalne stwierdzenie faktu, iż Beranżera kocha Velmota... Ona ta słodka, cudna moja dziewczyna — miałaby oddać serce swoje nikczemnikowi?... Czy podobna?... Jakaż niezgłębiona zagadką jest kobieci!... Targała mną zazdrość, łagodzona wszakże przez ogromną litość, jaką czułem dla biednej dziewczyny, wplątanej w ponury dramat... Teodor Massignac stawał do walki ze swym współnikiem, ona stała pośród nich...

Oczwiesćcie, że entuzyastyczne sprawozdania w dziennikach spowodowały silniejszy jeszcze

niż poprzedniego dnia napływ publiczności... Przy kasie toczono formalną bitwę o bilety, tak, że policja musiała interweniować, bo w powietrzu zaczęły fruwać laski, damskie i męskie kapelusze i fałszywe włosy...

Każdy chciał zobaczyć wizję Trojga Oczu.

Tłum zapełnił szczerlnie widownię... Ale spektakl nie rozpoczynał się... Niebo zaczęły przesłaniać chmury... Publiczność zawiedziona w swoich oczekiwaniach, zdenerwowana burzyła się i wyrażała swe niezadowolenie, rzucając pod adresem Massignaca we wrogim tonie:

— Mass'gnac! Massignac! — skandowano.

Wyprostowany — stał w swojej klatce ze wzrokiem wlepionym w ekran... I on, czekał na zjawisko, poprzedzające pojawienie się obrazów...

Nagle Massignac podniósł rękę... Lekkie chmury były przybierać jakieś określone kształty... Obrazy pojawiły się, ale zamglone... Zobaczyliśmy ulice prawie zupełnie puste z pozamykanymi sklepami... Ani jego człowieka we drzwiach lub przy oknie.

Niekiedy ukazywał się wózek, w którym jechało dwóch żandarmów w mundurach z czapów Rewolucyi. Z tyłu widać było księdza i mężczyznę w ciemnych pantalonach i białych pończochach.

Odosobniony obraz ukazał nam twarz i tors tego człowieka. Poznałem go... wszyscy widzący, zgromadzeni w amfiteatrze poznali nalaną ciężką fizyognomię króla Ludwika XVI. Spoglądał on wzrokiem twardym i jakby osłupiałym. Ujrzelśmy go, za chwilę na wielkim placu, otoczonym wieńcem armat i murem postaci w mundurach żołnierskich... Wstępował na stopnie szafotu. Nie miał na sobie szat zwierzchnich ani żabotu. Ksiądz podtrzymywał go, a czterech katów wyciągało ku niemu ręce, by go pochwycić...

Obrazy te nie wywołały takiego wrażenia, jakiego możnaby się spodziewać... Były zbyt

krótkie, niewyraźne, mgliste, niepowiązane ze sobą...

Publiczność straciła już nadzieję pięknego widowiska, co wywołało u wielu osób irytację. Nastroj mistyczny, naprężony — prysnął — bez śladu... Niektórzy śmiali się, śpiewali, hałasowali. Rzucano obelżywe słowa pod adresem Massignaca. Gniew publiczności wzmógł się jeszcze, kiedy jeden z katów pokazał odłączoną od tułowia głowę królewską, a potem wszystko rozplynęło się we mgle...

Jakieś jeszcze obrazy coraz bardziej niewyraźne, poplątane przesunęły się... Byli tacy, którzy twierdzili, że poznają królową Maryę Antonię i ci nakłaniali resztę widzów do cierpliwego wytrwania do końca tak drogo (płacowego spektaklu. Ale wzburzenie było tak silne, że nie podobna było zahamować jego wybuch...

Kto pierwszy rozpętał burzę?... Kto rzucił się pierwszy, wywołując bezład i panikę? To już nazawsze pozostanie tajemnicą... Bezwątpienia jednak, że tłum cały był posłuszny wewnętrznemu głosowi, nakazującemu ujawnienie niezadowolenia. Napastnicy rzucili się jedni w kierunku Teodora Massignaca, inni zaś usiłowali dotrzeć do cudownego ekranu... Te próby ataku załamały się z powodu nieprzezwycięzonego oporu drabów w mundurach portyerów, którzy uzbrojeni wszyscy w amerykańskie boksery odpychali rozsłaniały tłum, na ślepo wymierzając ciosy... Ozwały się jęki, co nie wpłynęło to bynajmniej na uspokojenie tłumy. Massignac popełnił tę nieostrożność, że zasłoniwszy mur kurtyną, wyszedł ze swej żelaznej klatki. Pochwycono go i wciągnięto przemocą w środek gromady rozwścieklonych manifestantów.

Niektórzy chcieli przywracać porządek, ale usiłowania ich tem większy powodowały zamęt. Puszczono w ruch pięści, laski i parasolki... Pocięła tu i ówdzie krew...

Ja starałem się wydostać z tego skłębionego rojowiska ludzkiego i na szczęście udało mi się to bez poważniejszego szwanku...

Odetchnąłem, znalazłszy się na ulicy:

— Miejsce dla rannego! — ryczał jakiś wysoki drab z wygoloną twarzą.

Dwóch mężczyzn spieszyło za nim, niosąc na rękach człowieka, któremu twarz przysłonięto paltem.

Ludzie ci wsiedli do automobilu, który zaraz odjechał.

W tej chwili poznałem twarz wygolonego draba i zrozumiałem, co znaczy ta cała scena... Domyśliłem się, kto był tym rannym, uwięzionym w samochodzie... Ten wysoki mężczyzna — to był Velmot — tylko bez brody i bez monokla!...

Wróciłem odrazu do Enclos i uwiadomiłem o tem co się stało komisarza policyi, prowadzącego śledztwo w sprawie morderstwa Noela Dorgeroux.

Natychmiast zagwiżdżał na swych ludzi, którzy wskoczyli do auta. Było jednak już za późno. Drogę zatrasowała tak wielka ilość wózków, że samochód komisarza policyi musiał się zatrzymać...

W ten sposób wśród białego dnia, w obliczu zgromadzonych tłumów, w obecności całej kohorty policyantów i żandarmów — Velmot porwał współnika swej zbrodni a zarazem najzaciętszego wroga — Teodora Massignacal...

—o—

Rozdział III.

Hallo! Hallo!

Tego samego dnia wieczorem, kiedy podniecony, zdenerwowany, rozmyślałem w moim mieszkaniu nad śmieciem porwanym Massignacem, zadzwonił telefon.

Zdjąłem z widełek słuchawkę.

— Hallo!... kto mówi?...

Posłyszałem głos dziwnie drżący...

— Panie... panie... ja znalazłem...

Nie zrozumiałem i powtórzyłem zapytanie:

— Kto mówi?

— Moje nazwisko nie panu nie powie... Jestem Benjamin Prevotelle inżynier...

Przeiwalem mu.

— Chwilę, szanowny panie, chwilę... Hallo. Benjamin Prevotelle?... Nazwisko pańskie nie jest mi obcem... Tak... przypominam sobie... wldywałem je w papierach mojego wuja...

— Co pan mówi?! Moje nazwisko w papierach Noëla Dorgeroux?!

— Tak jest, wypisane bez żadnego komentarza...

W głosie Prevotella czuć było coraz większe zmieszanie.

— O! — zawołał — czyż to możliwe? Jeżeli Noel Dorgeroux zanotował moje nazwisko, to dowodziłoby, że czytał moją broszurę i że zainteresował się moją hipotezą...

— Jaką hipotezę?

— Zrozumie pan to, czytając mój pamiętnik...

— Pański pamiętnik?

— Pamiętnik, który napiszę tej nocy. Byłem obecny na obu seansach w Enclos i znalazłem...

— Ależ co, do licha!...

— Rozwiązanie zagadki!...

— Co?! pan znalazł?!...

— Tak, panie. Jest to rozwiązanie proste zresztą, tak proste, że boję się, aby mnie ktoś nie uprzedził... Niech pan pomyśli, gdyby, tak ktoś inny wpadł również na to!... Zatelefonowałem więc na chybił trafił do Meudon, chciałem bowiem rozmówić się z panem... Och! proszę pana, niech mnie pan wysłucha... musi mi pan wierzyć...

— Ależ oczywiście... tylko nie rozumiem, czem mógłbym...

— Może pan może!..., — drgał błagalną prośbą głos w telefonie. — Wystarczyłoby mi kilka krótkich informacji...

— Jeśli te informacje mogą się panu na coś przydać, to...

— Jedna jest mi koniecznie potrzebna... Mur, służący obecnie za ekran, został zrekonstruowany przez pańskiego wuja w ten sposób, że u podstawy tworzy pewien kąt nachylenia.

— Tak jest.

— Z drugiej strony wedle pańskiego mniemania Noel Dorgeroux miał zamiar zbudować drugi amfiteatr w swoim ogrodzie, przyczem za ekran miała mu służyć odwrotna strona tego samego muru. Nie prawdaż?

— Istotnie.

— Oto właśnie mi chodziło. Czy zauważył pan, że i po drugiej stronie był ten sam nachylenia?

— Tak jest, zauważyłem...

— A zatem — rzekł Benjamin Prevotelle — mamy dowód jasny. Noel Dorgeroux i ja rozumiemy jednakowo... Źródłem ukazywania się obrazów nie jest bynajmniej sam mur. Przyczyna leży gdzieś indziej... I ja wykazę, jaka to przyczyna. Gdyby pan Massignac chciał mi iść trochę na rękę...

— Pan Massignac został dzisiejszego wieczoru porwany — oświadczyłem.

— Porwany?! Jakto? co pan mówi?

— Tak porwany! I sędzę, że amfiteatr zostanie zamknięty aż do nowego rozporządzenia.

— Ależ to straszne!... to okropne!... Jakto zatem nie mógłbym stwierdzić prawdziwości mej hipotezy?!.. Cudowne wizje nie ukazałyby się już więcej?! Nie! to niemożliwe! Przecież... przecież nikt prócz Massignaca nie zna zawierającej rozwiązanie formuły!... — Nie! nie! trzeba za wszelką cenę... Hallo! Hallo!.. proszę pani, niech pani nie przerywa!.. jeszcze chwilę... Powiem panu całą prawdę... Cztery słowa wystarcza... Hallo... hallo,,.

Głos Benjamin Prevotelle ucichł nagle — właśnie w tej chwili, kiedy w najwyższym napięciu nerwów oczekiwałem magicznych słów.

Przez kilka minut czekałem jeszcze na ponowne połączenie. Napróżno. Postanowiłem więc wyjść z domu. Znalazłem się już w bramie, kiedy mni spiesznie odwołano na górę. Ktoś znowu wzywał mnie do telefonu.

— Któżby to mógł być? — pomyślałem — z pewnością on znowu...

I ujawszы słuchawkę spytałem:

— Halo, To pan Prevotellie?

W odpowiedzi posłyszałem moje imię, wymówione głosem kobiecym, słabym, jakby mdlejącym:

— Wiktorynie... Wiktorynie...

— Paliol — wyrwał mi się z piersi, drżący wzruszeniem okrzyk. Nie dowierzałem jeszcze własnemu słuchowi. — Tak, to ja Wiktoryn Beaugrand!... Kto mówi?...

Zaczeły padać urywane słowa:

— Na pomoc Wiktorynie... ratuj... mojemu ojcu śmierć grozi... Na pomoc... Błękitna oberża... Bougival!...

Nie było już wątpliwości! To głos Boranżery! — Beranżera... — wyszeptałem — wzywa mnie..., prosi o ratunek...

Nie namyślając się dłużej pobiegłem pędem na dworzec kolei i wszedłem do pociągu, jadącego do Saint-Cloud. Kiedy przybyłem do Bougival — padał ulewny deszcz. Zmoczony do nitki, brnąc po kostki w błocie, błąkałem się w ciemnościach... Wreszcie znalazłem się u wrót Błękitnej Oberży, która była już zamknięta. Ale mały chłopak, drzemiący na schodkach ganru, obudził się i zapytał, czy to ja jestem Wiktoryn Beaugrand?

— Tak jest — odparłem.

Wówczas chłopiec oznajmił mi, że panna Beranżera kazała mu czekać tutaj na mnie.

— Mam pana zaprowadzić natychmiast do niej...

W milczeniu postępowałem w ślad za moim małym przewodnikiem poprzez puste małomiejskie ulice, w nocnej pogrążone ciszy, aż do bulwarów nad Sekwaną. Deszcz przestał padać,

lecz ciemności nieprzenikniętych żadna nie rozjaśniała gwiazda.

— Łódź jest tutaj — rzekł chłopiec.

— A! przeprawiamy się na drugi brzeg!

— Tak. Panienska ukryła się po tamtej stronie rzeki. Niech pan tylko zachowuje się cicho.

Wkrótce przybiliśmy do brzegu. Potem kamienista ścieżka poprowadziła nas ku małemu piętrowemu domkowi. Malec zapukał do drzwi trzy razy.

Natychmiast otwarto. Wstąpiłem na kilka stopni, poczem, przez sionkę oświetloną mdłym blaskiem świecy dostałem się do ciemnego pokoju, gdzie jakaś postać niewyraźnie rysowała się w mroku.

Nagle zabłysnęło światło elektryczne i ujrzałem lufę rewolweru wymierzoną w moją pierś.

Twardy męski głos rzekł:

— Pan zachowasz się zupełnie cicho! Najmniejszy hałas, najłżejsza próba ucieczki — a los twój przesądzony!... Jeżeli pan będziesz spokojny, to nie obawiaj się niczego. A teraz możesz pan spać...

Drzwi zatrzaśnięto. Rygle zazgrzypiały.

Wpadłem w pułapkę!.. Velmot — to był bezwątpienia on — wciągnął mnie w sieci, rozsunięte przy pomocy Beranżery...

Ta przygoda równie niezrozumiała, jak wszystkie inne, łączące się z imieniem i osobą Beranżery Massignac, więcej mnie zdumiała niż przeraziła.

Pytania, na które niepodobna było znaleźć odpowiedzi cisnęły mi się rojem do głowy: Dlaczego ona zdradziła mnie? Czego chce ode mnie pan Velmot? Poco mnie zamyka tutaj, jeżeli nie żywi, jak mi oświadczył, wrogich wobec mnie zamiarów?

Po omacku usiłowałem zorientować się w ciemnym pokoju. Skonstatowawszy, że znajduje się tam łóżko, a raczej tapczan przykryty kołdrą, zdjąłem obuwie, zrzuciłem zwierzęcnie ubranie i położyłem się spać. Byłem tak zmęczony i wyczerpany, że po kilku minutach spa-

tem już w najlepsze. Obudziłem się nazajutrz dość późno — mniej więcej koło południa. Spojrzenie rzucone na stół przekonało mnie odrazu, że w czasie mego snu do pokoju ktoś wchodził, albowiem na stole leżał kawałek świeżego chleba i stała karafka z napelnioną wodą.

Cela moja więzienna była bardzo szczupła. Światło dzienne wdzierало się poprzez spory otwór, wykrojony w drewnianej okiennicy. Otwór ten był na tyle duży, że mogłem stwierdzić, iż moje więzienie znajduje się na pagórku, u stóp którego szemrzą łagodne fale rzeki.

Większa część dnia upłynęła w ciszy i milczeniu. Nudziłem się straszliwie, nie wiedząc, co począć z sobą i głowiać się nad tem bezskutecznie w jakim celu zwabiono mnie do tej dziury... Dopiero koło godz. 5-ej posłyszałem jakieś głosy, dochodzące do mnie z pod podłogi, a zatem z piwnicy. Nastawiałem pilnie uszu i zdawało mi się kilkakrotnie, że poznaję głos Mas-signaca. Rozmowa ta ciągnęła się przeszło godzinę. Następnie ktoś zatrzymał się przed mojem oknem, wołając:

— Hej! wy tam! chodźcie tutaj i przygotujcie się!... To jest uparta bestya, która nie zechce nic powiedzieć, jeżeli się go nie zmusi!...

Był to ten sam elegancko ubrany drab, który wczoraj rozpychał tłum w Enclos, żądając, aby zrobiono miejsce dla rannego... To był we własnej osobie Velmot, wychudły, wygolony, — bez monokla — Velmot nikczemnik i brutal, kochany przez Beranżerę.

Dwaj mężczyźni, dwaj wspólnicy o posępnych, niesympatycznych fizyognomiach pośpieszyli ku niemu.

Velmot mówił dalej:

— Zmuszę go! zmuszę to bydlę wstrętnie!... Jakto? mam go w rękę, mogę z nim zrobić, co zechcę, a on zachowa by swój sekret?! Z gardła mu wyrwę!... Ale trzeba się spieszyć. Musimy z tem skończyć zanim noc zapadnie... Czyście przygotowani na wszystko?

Dwa potakujące pomruki dały się słyszeć.

Velmot zachichotał. Po chwili wsiadł do uwiązanej u pata łodzi. Jeden z jego współników odepchnął ją od brzegu. Velmot przywiązał do dwóch nadbrzeżnych trzcin gruby sznur, w środku którego przymocował żelazny haczyk!

— Zrobione — rzekł, powróciwszy na brzeg — już mi was nie potrzeba. Wsiadźcie do drugiej łodzi i oczekuje mnie w remizie. Zjawię się tam za trzy lub cztery godziny, kiedy załatwię sprawę z Massignacem i rozmówię się — bardzo stanowczo — z naszym drugim więźniem... A potem w nogi!...

Odszedł ze swymi towarzyszami. Zobaczyłem go w dwadzieścia minut później. Usiadł przy małym stoliku trzcinowym ustawionym tuż przed oknem mego więzienia. Trzymał płachtę dziennika w rękę.

Położył gazetę na stoliku i zapaliwszy cygara, usiadł obrócony do mnie plecami. W chwili, kiedy się nieco przechylił na bok, zobaczyłem „Journal de Soir”. Wielkimi literami wydrukowano sensacyjny tytuł:

**Prawdziwa przyczyna zjawisk w Enclos
jest już znana.**

Zadrzałem cały. A więc jednak!... Benjamin Prevotelle zdołał znaleźć rozwiązanie zagadki i rozwiązanie to podał do wiadomości publicznej.

Z najwyższym wysiłkiem przyklejony do okiennicy usiłowałem odczytywać pierwsze wiersze artykułu!... Co za wzruszenie przy każdym, z trudem odcyfrowanem słowie.

Ten pamiątkowy numer „Journal” de Soir” zachowałem aż po dzień dzisiejszy. Oto co zawierał ów sensacyjny artykuł:

„Tak! najfantastyczniejszy ze wszystkich problemów został rozwiązany. Jeden z naszych kolegów ogłosił dzisiaj rano pod postacią „Listu otwartego do Akademii umiejętności” — pamiętnik najbardziej przejrzysty, najbardziej frapujący, jaki tylko sobie można wyobrazić. Nie wiemy, czy oficjalna wiedza zechce zgodzić na wysnute tam jasno i logiczne wnioski, są-

dzimy jednak, że skierowane przeciwko wywodom Benjaminu Prevotelle'a kontrargumenty — nie wytrzymają krytyki wobec przedziwnie solidnej architektury gmachu hipotezy, jaka nam została podana. Argumenty, przez niego wytoczone, należą do rzędu tych, których obalić niepodobna. Dowody są tak jasne, że im się wierzyć musi. Ta zdumiewająca hipoteza nie tylko wydaje się niewzruszoną w swoich podstawach, ale otwiera przed nami nieogarnione dotychczas przez naukę horyzonty. Odkrycie Noela Dorgeroux pociąga za sobą skutki, tak daleko idące, że na razie trudno a nawet niepodobna określić ostatecznie granicy. To wiekopomne odkrycie wali w gruzy całą naszą wiedzę o przeszłości ludzkości i zmienia z gruntu koncepcję przyszłości. Od początku świata nie było wypadku o równie bezkonkurencyjnej doniosłości. To jest wypadek napozór jak najbardziej niezrozumiały, a w istocie jak najnaturalniejszy, najwięcej skomplikowany i zarazem jak najprostszy. Wielki uczony — siłą rozumowania mógł dojść do tych samych wyników, jakie młodzieniec, prawie dziecko jeszcze, osiągnął kierowany genialną intuicją. Oto kilka informacji, jakich zechciał nam udzielić Benjamin Prevotelle. Przepraszamy szanownych czytelników za to, że nie możemy podać więcej szczegółów o tym, który dotarł do jądra tajemnicy Noela Dorgeroux, ale pan Prevotelle liczy dopiero lat dwadzieścia trzy... Postaramy się dać...

Musiałem przerwać czytanie, nie mogąc dojrzeć dalszych słów. Zdenerwowanie moje potęgowało się... Czyż nie dowiem się dalszego ciągu?...

Velmot wstał i trzymając ręce w kieszeniach jął przechadzać się tam i z powrotem.

Na chwilę zniknął mi z oczu, poczem powrócił z butelką wódki w rękę. Pociągnął dobry haust i odstawił butelkę. Następnie rozłożył gazetę i zaczął czytać. Bezwątpienia czytał to już po raz wtóry. Krzesło, na którym siedział

Velmot, dotykało okiennicy. Mogłem więc i ja czytać z nim razem — wprowadzie nie koniec artykułu redakcyjnego, ale sam pamiętnik Prevotelle'a.

List otwarty do Akademii umiejętności.

„Proszę was, czcigodni panowie, abyście ten mój pamiętnik traktowali jako krótki wstęp do dzieła o większej doniosłości, do całego szeregu dzieł, jakie bezwątpienia ukazą się we wszystkich krajach osnute na podstawie tej skromnej przedmowy.“

Redaguje to w pośpiechu — i w gorączce improwizacyi. Bezwątpienia więc nie brakuje tu luk i niedomówień, spowodowanych małą stosunkowo ilością obserwacyi i zaciętym uporem pana Teodora Massignaca, który stanowczo odmawiał wszelkich dodatkowych wyjaśnień.

Ale doniosłe znaczenie cudownych wizyi skłoniło mnie do ogłoszenia rezultatów badań — wielce jeszcze niekompletnych. Sądzę, że podając je do wiadomości publicznej przyczynię się do odkrycia prawdy i uspokojenia wzburzonych umysłów.

Wysiłki moje zaczęły się od chwili ogłoszenia pierwszych rewelacyi pana Wiktoryna Beaugrand. Zebrałem starannie wszystkie jego słowa, zanalizowałem wszystkie jego wrażenia. Postarałem się zapoznać z całym materiałem doświadczalnym Noela Dorgeroux. Dokładne zbadanie i przemyślenie tych rzeczy doprowadziło mnie do tego, że na pierwszym seans w Enclos przybyłem nie jako jeden z tysięcy gapiów, żądnych emocyi i sensacyi, ale z planem gotowym i dojrzałym, z kilku precyzyjnymi narzędziami pracy, które ukryłem starannie pod ubraniem.

Więc przede wszystkim aparat fotograficzny. To nie było łatwe do przeprowadzenia. Teodor Massignac był ostrożny i nieufny i zabronił wstępu najmniejszemu nawet aparacikom. Udało mi się jednak. Chciałem otrzymać definitywną odpowiedź na pytanie: czy może obrazy w Enclos są wynikiem sugestyi indywidual-



nej lub zbiorowej, po za którą niema żadnej zewnętrznej realnej przyczyny. A może też ta przyczyna istnieje? Tę odpowiedź po części można było uzależnić od identyczności wzrokowych wiązań obecnych. Ponieważ jednak i to kryterium nie przedstawiało mi się dość pewnie, więc tylko aparat fotograficzny mógł mi dostarczyć niechybnego dowodu. Kamera fotograficzna to nie mózg ludzki, nie ulega złudzeniom ni hallucynacyom. To świadek, który nie kłamie i oszukać nie może. I świadek ten najwiarygodniejszy przemówił... Czują klisza potwierdziła **realność fenomenów**.

Mam do rozporządzenia Akademii Umiejętności siedem zdjęć, z których dwa, przedstawiające pożar katedry w Reims są bardzo wyraźne.

Jedno ustaliłem: ekran stanowi ognisko wysyłające promienie świetlne. Stwierdziwszy to usiłowałem prowadzić dalsze doświadczenia, w których napotykałem na bardzo ważne przeszkody jak np.: zbyt wielka odległość, dzieląca mnie od muru, konstrukcyja amfiteatru, niewystarczające natężenie światła promieniującego z ekranu. Niemniej przy pomocy spektroskopu i polarymetru, zdołałem skonstatować, że światło to nie różni się zasadniczo w niczem od światła naturalnego.

Poważniejszych rezultatów dostarczyło mi badanie ekranu za pośrednictwem lusterka obrotowego. Wiadomo, że gdy ogląda się w szybko obracanem lustrze obrazy kinematograficzne, to zdjęcia rozszczepiają się niejako, dając oddzielne obrazy. Teoryja ta znalazła swoje zastosowanie odnośnie do obrazów w Enclos... Nasuwała się więc siła rzeczy hipoteza może to wszystko, co widzimy, to są zdjęcia fotograficzne, zwykle filmv? Ależ w takim razie gdzie się znajduje projektor? w jaki sposób pracuje operator kinematograficzny? Wszak nigdzie ani śladu projektora...

Czyżby należało przypuszczać, tak jak i ja przez chwile przypuszczałem, że obrazy rzucone są na ekran przy pomocy jakiegoś ukrytego

podziemnego aparatu, co przecież nie jest rzeczą nie możliwą do pomyślenia. Ta ostatnia hipoteza sprowadzałaby cudowne zjawisko do zwyczajnego oszustwa.

Jednak nie bez słuszności naprzód p. Wiktorin Beaugrand a za nim wszyscy widzowie odrzucili to przypuszczenie. Wizye noszą zbyt wybitne znamię autentyczności i zjawiają się tak niespodzianie tak spontanicznie, że uderzyć to musi najsceptyczniejszego widza. Zresztą wszyscy specjaliści filmowi zapytywani o zdanie oświadczyli, że to co dzieje się w Enclos nie pozostaje w żadnym związku ze sztuką kinematograficzną... Impresaryo sam nie wie bowiem czy i jakie obrazy ukażą się na ekranie... Nadto zauważyć trzeba, że fabrykacja takich filmów byłaby bardzo skomplikowaną i trwałaby długo, więc jest to wielce nieprawdopodobnem, aby w tym wypadku udało się zachować absolutną tajemnicę.

Na tym punkcie stanąłem przedwczoraj wieczorem — po pierwszym seansie. Nie powiem, abym wiele więcej wiedział o zasadniczych podstawach problemu, niż każdy inny widz. Ale już za drugim razem uczu'łem, że stoję na pewnym gruncie... Spokojnie... bez gorączki, bez emocyi obserwowałem... Obrazy były niewyraźne... niepowiązane... słabe... znikwały chwilami zupełnie. Dlaczego? Dlaczego spektakl technicznie nie udał się?! Dlaczego machina dotychczas funkcjonująca bez zarzutu zaczęła wykazywać poważne niedokładności? Gdzie leży przyczyna?

Wszak znajdowaliśmy się w obliczu obrazów kinematograficznych, które nie pochodziły ani z muru samego ani z żadnego innego miejsca amfiteatru?... A zatem kto i skąd je wyświetla? Co przeszkadza ich wyświetlaniu?

Instynktownie wykonałem ruch, który zapewne wykonałoby każde dziecko w tej sytuacji i podniosłem głowę ku niebu. Niebo było bezwzględnie jasne i czyste... Przynajmniej tak mi się wydało w pierwszej chwili. Potem, gdy wzrok mój przyzwyczaił się do widoku lazuru,

spostrzegłem, że coś się tam dzieje na niebie, coś niezwykłego...

Serce uderzyło mi w piersi jak młotem... Nagły błysk poznania rozświetlił moje splątane myśli...

A tam wysoko... na zachodzie sunęły lekkie obłoki...



ROZDZIAŁ IV.

Dwaj współnicy — dwaj wrogowie.

„Sunęły lekkie obłoki... sunęły lekkie obłoki...”

To były ostatnie słowa, które zdołałem przeczytać. Zaczęło się nagle robić ciemno. Oczy moje wyczerpane lekturą w tak niewygodnych warunkach napróżno usiłowały walczyć z zapadającym zmrokiem...

Zresztą Velmot wkrótce wstał i odszedł w stronę rzeki. Wybiła godzina czynu. Jakiego czynu? Było mi to dziwnie obojętne. Pomimo tak niewyjaśnionej sytuacji nie obawiałem się zupełnie o siebie, chociaż Velmot zapowiadał, że pogada ze mną „ostro”.

Wielka tajemnica wizji w Enclos do tego stopnia absorbowwała moją myśl, że wypadki zachodzące obecnie interesowały mnie o tyle, o ile mogły służyć lub zaszkodzić sprawie genialnego wynalazku Noela Dorgeroux.

Wszak był już ktoś, kto znając prawdę, rozgłosił ją czy zamierzał rozgłosić całemu światu! Czy mogłem w takiej chwili myśleć o czym innym? interesować się sprawami, nie dotyczącymi bezpośrednio logicznych rozumowań Benjamina Prevotella i niesłuchanie ważnych rezultatów, do których on dojsć zdołał!...

Ach! jakżebym pragnął i ja wiedzieć wszystko! Co stanowi podstawę istotną nowej hipotezy? Czy godzi się ona z realnemi wskazaniami eksperymentalnemi? Wiele rzeczy w wywodach Benjamina Prevotella było dla mnie

niejasnych? Co chciał on właściwie powiedzieć? Co znaczyły te lekkie obłoki, które dojrzał na niebie? Jaki wpływ mogły wywierać na obraz, pojawiające się na ekranie? Dlaczego Prevotelle zapytywał mnie, czy druga strona zwrócona jest ku wschodowi słońca? I dlaczego odpowiedź moją uznał za potwierdzenie swej hipotezy?

Głos Velmota wyrwał mnie z zadumy. Zbliżyłem się do okna, zajmując stanowisko, które porzuciłem na kilka minut.

Velmot pochylił się nad okienkiem piwnicy.

— I cóż? Massignac? czy gotów jesteś? Wyciągniemy ci tędy, to ci oszczędzi trudu drapania się po schodach.

Potem jednak zszedł po schodach na dół. Pośłyszałem wkrótce odgłosy burzliwej wymiany zdań, potem jakiś ryk, — wreszcie zapanowała nagle cisza, więcej wstrząsająca niż wszystko to, co się przedtem działo. Mogłem sobie już wyrobić pojęcie o ohydnej scenie zainscenizowanej przez Velmota. Dla mordercy mego wujka nie czułem litości, ale przyznaję, że zadygotałem na myśl o chwili, w której i na mnie przyjdzie kolej.

Odbvło się to tak, jak zapowiedział Velmot: Massignac skrzepowany sznurami z zakneblowanymi ustami ukazał się, wyciągnięty z lochu na linie. Następnie Velmot ujął go za ramiona, zaciągnął nad rzekę i przemocą usadowił w łódce, poczem rzekł:

— Massignac, po raz trzeci przemawiam do twojego zdrowego rozsądku a za chwilę przemówię po raz czwarty energiczniej, jeżeli mnie do tego zmusisz. Ale ty ustąpisz, nieprawdaż? No namwś! że się! Zastanów się, cobvś zrobił, gdybvś bvł na mojem miejscu? Postąpiłbvś tak samo, jak i ja, przyznaj! Włec na co ty czekasz? Knebel rde pozwoli ci mówić? Jedno skinienie zgody, a zdejmę ci go. Zgadzasz six? Nie? W takim razie zmuszasz mnie do innego sposobu prowadzenia konwersacyi... Żałuję mocno,

jeżeli ten sposób nie wyda ci się zbyt przyjemnym...

Usadowiłwszy się koło swojej ofiary, uchwycił ją w pól i dzwignął... Dał się słyszeć plusk i za chwilę Massignac zawisł po piersi zanurzony w wodzie — pomiędzy dwoma palami, zaczepiony o żelazny hak. Księżyc wypłynął z za chmur, mogłem więc jak najdokładniej obserwować tę scenę... Widziałem twarz Massignaca śmiertelnie bladą i fale rzeki wysrebrzone światłem księżycowem.

— Nie irytuj się Massignac... nic ci to nie pomoże... No, a teraz pogadamy jeszcze, tylko szybko, bo mamy mało czasu... Za godzinę mniej więcej należy ci się trochę wody do ust, a to przeszkadza swobodnej rozmowie.

Velmot zaśmiał się jakimś dyabelskim chichotem:

— Zostawiam ci pięćdziesiąt minut czasu do namysłu...

Uniknął na kilkanaście sekund, poczem ciągnął dalej swój monolog:

— Zdajesz sobie chyba jasno sprawę z tego w jakiej znajdujesz się sytuacji? Ten powrót, na którym jesteś uwiązany, jak bydlę w rzeźni — ugina się pod twoim ciężarem coraz bardziej... Z każdą chwilą zanurzasz się głębiej... nic cię nie uratuje, jeżeli nie przemówisz... No, powiesz?!

Księżyc, to chował się poza chmury, to znowu wypływał, oblewając cały ponury obraz migotliwem światłem. Ciemna sylwetka Massignaca rysowała się w półmroku...

Woda podchodziła mu coraz wyżej — sięgając już po ramiona...

— Słuchaj stary, jeżeli masz odrobinę logiki we łbie to powinienes gadać... Razem obmyśliśmy ten interes, doprowadzilibyśmy go do skutku wspólnymi siłami, ale ty beżczelnie chciałeś zagarnąć wszystkie zyski. Żadam, byś mi oddał moją część, oto wszystko!... Wystarczy, byś mnie zapoznał z formułą Noela Dorge-roux i umożliwił mi pierwszy eksperyment.

Wtedy wypuszczę cię na wolność, bo będę miał pewność, iż obawiając się konkurencyi, uczciwie oddasz mi połowę dochodów... Zgadzasz się czy nie — do stu tysięcy piorunów!...

Teodor Massignac musiał wykonać jakiś gest negacyi czy protestu, bo ciszę, nocną przeciął suchy trzask policzka silną dłońią wymierzono.

— Łotrze jeden! — ryknął Velmot — świętego wyprowadziłbyś z cierpliwości!... Więc wołisz zdychać?!... A może masz nadzieję, że ja stchórzę! albo spodziewasz się pomocy skądkolwiek? Idyoto!... Przecież to ty sam wyszukałeś to miejsce zeszłego roku w zimie... Żaden statek tedy nie jedzie... Wokół puste pola... Znikąd możliwości ratunku!... ani litości!... Do kroćset szatanów! czy ty sobie nie zdajesz sprawy?... Czytałem ci przecież ten artykuł w „Journal de Soir“... Wyjawszy formułę, cały sekret Noela Dorgeroux jest tam już zdemaskowany!... I kto wie, czy ten młodzik nie wpadnie sam na nią!... może za kilkanaście dni, cała rzecz stanie się własnością ogółu, a ja stracę miliony, które mógłbym tymczasem zarobić!... Aa! Doprawdy, że to się wściec można!...

Długa chwila ciszy.

Księżyc oświecił jasno postać Massignaca. Woda sięgała mu już po szyję.

— Nie mam ci więcej nic do powiedzenia! — rzekł Velmot — kończmy! Odmawiasz?

Przeczekał chwilę:

— Jeżeli odmawiasz, przestaję nalegać!... Po co? Sam postanowiłeś o swoim losie, sam wybrałeś śmierć!... Bywaj, stary! Idę wypić kubek za twoje zdrowie! Ha! ha! ha!...

Pochylił się nad swoją ofiarą i dorzucił:

— Trzeba jednak być przezornym, trzeba przewidzieć każdą możliwość... Gdybyś się przypadkiem namyślił (kto wie? natchnienie przychodzi w ostatniej chwili) — to zawołaj tylko i przyjdę... Rozluźnięm trochę twój knebel... Dowiedziałem Teodora!...

Velmot popchnął swą łódkę i przybił do brzegu, mruczając gniewnie:

— Co za psia robota!... I czego to bydlę jest takie głupie?!...

Stosownie do swego programu usiadł znowu przy stole, nalał sobie koniaku do kieliszka i zapalił fajkę.

— W twoje ręce, Massignac!... Za dwadzieścia minut i ty napijesz się... ale wody!... A może wolisz ten doskonały koniaczek? Więc wotaj!.. Słucham, stary towarzyszu!..

Chmury zasłoniły księżyc, chmury tak gęste, że w ciemności zatarły się sylwetki obu moich wrogów. W głębi duszy żywiłem przypuszczenie, że albo Velmot ustąpi, albo Massignac przemówi. Minuty mijały... dziesięć... piętnaście być może... Zdawało mi się, że to niesamowite milczenie nigdy się nie skończy...

Velmot palił spokojnie swoją fajkę, a Massignac jęczał zcicha... Nie zawołał jednak...

Upłynęło jeszcze pięć minut... Nagle Velmot wstał, dysząc wściekłością:

— Dostyc mam już twoich jęków, kretyne jeden! Rozwiążę ci się język czy nie? Nie?! No, to zdychaj, bydlę podłe!

Posłyszałem, jak mruknął przez zęby:

— Może prędzej dam sobie radę z tamtym?

Co chciał przez to powiedzieć, Czy tamten — to ja? Istotnie Velmot skierował kroki w stronę wejścia, prowadzącego w głąb domku...

Dał się słyszeć krótki, urwany krzyk... A potem zapanowała cisza. Co się stało? Może Velmot w mroku uderzył się o mur lub drzwi? Nie mogłem oczywiście tego sprawdzić!... Stół i krzesło rysowały się niewyraźnie w ciemnościach... Od strony rzeki dobiegały słabnące z każdą chwilą jęклиwe skargi Massignaca.

— Velmot idzie do mnie — myślałem — za kilka sekund będzie tutaj...

Nie miałem pojęcia, czego właściwie ten człowiek żąda odemnie, jak również nie mogłem domyślić motywów mego uwięzienia. Czyżby Velmot przypuszczał, że ja znam formułę i że

dlatego nie zdradziłem Massignaca, ponieważ podzielił się ze mną sekretem Noela Dorgeroux?... W takim razie będzie mnie może chciał zmusić do mówienia, używając tych samych metod, które stosował do swego dawnego współnika? A może też chodzi o Beranżerę, o tę dziewczynę, kochaną przez nas obu, a o której rzecz dziwna Velmot ani słowem nie wspominał przed Massignacem. Na te wszystkie pytania miał mi Velmot odpowiedzieć... Ale dlaczego nie przychodzi?

Nikt się nie zjawiał i nie było słyhać żadnego szelestu. Gdzież on się podział? Przez długą chwilę trwałem nieruchomo, przyłożywszy ucho do drzwi, gotowy stawić opór, chociaż nie miałem żadnej broni przy sobie. Nie przyszedł. Powróciłem do okna. I tam zupełnie cicho... Straszne wrażenie robiła ta cisza, której nie mąciły już teraz nawet słabe jęki Massignaca. Napróżno tężyłem wzrok. Nie mogłem dostrzedz nic... Fale rzeki i przestrzeń nadbrzeżna wszystko zlewało się w jedną czarną nieprzeniknioną masę.

Nie widziałem i nie słyszałem już Teodora Massignaca!... Fakt przejmujący grozą... Czyż woda naląła mu się do ust i nosa, dusząc go? Silnie trzasnąłem kulakiem w okiennicę. Myśl o ewentualnej śmierci Massignaca wstrząsnęła mną, budząc dreszcz przerażenia... Śmierć Massignaca — to zagłada genialnego wynalazku, to zniweczenie wiekopemnego dzieła... Przyczyna śmierci Massignaca — Noel Dorgeroux umierał po raz drugi.

Spotęgowałem moje wysiłki. Przestałem trochę się o to, że lada chwila Velmot może wpaść i rzucić się na mnie... Jedną tylko myśl opanowała mój umysł: wydostać się z tej dziury, pospieszyć na pomoc nie Massignacowi ale Noelowi Dorgeroux, którego pracy groziło unicestwienie!... Jeśli milczałem dotychczas, jeśli nie oddałem sprawiedliwości zbrodniarza, to w imię tego samego hasła — winienem być rato-

wać od śmierci człowieka, który sam jeden znał niezbędną formułę.

Pięści moje okazały się zbyt słabemi, więc zacząłem pomagać sobie krzesłem i prętem żelaznym wyłamanym z łóżka. Okiennica w jednym miejscu była pęknięta... Podważyłem silniej... Dał się słyszeć głuchy trzask... Nareszcie udało mi się zwyciężyć zapórę. Wskoczyłem na okno, otwarłem je, jednym susem znalazłem się na ziemi, aby potem pędem pobiedz w stronę rzeki. Kierując się instynktem, szybko odnalazłem łódź:

— Jestem tutaj. — krzyknąłem — spieszę ci na pomoc! trzymaj się!...

Wyciągnąłem ręce, aby uchwycić sznur, ale dłonie moje trafiły w próżnię...

Sznur zerwał się, pale były pod wodą, haka ani śladu... Chało musiało już popłynąć z prądem rzeki... Na chybił trafił zanurzyłem ramię o ile się dało najgłębiej... Ale huk wystrzału pozbawił mnie na krótką chwilę przytomności umysłu... Kula świsnęła mi koło uszu. Jednocześnie posłyszałem zdławiony głos Velmota:

— A!... hultaju jeden!... skorzystałeś już?!... Chcesz uratować tego wisielca Massignaca!... Poczekaj, niegodziwcze!...

Strzelił jeszcze dwa razy naoslep, bo ja oddałem się szybko. Żaden strzał nie ranił mnie. W łódce okrążyłem wyspę i kierując się światłami, które migotały w oddali przybiłem do głównej przystani. Tramwaj mknął po szynach.. Restauracye i kawiarnie były otwarte. Znajdowałem się pomiędzy Bougival i Port-Marly.

O godzinie dziesiątej wieczorem byłem już w pokoju hotelowym w Paryżu i czytałem „Journal de Soir”. Poprzednio już w tramwaju przebiegłem oczyma artykuł. Jedno słowo powiedziało mi wszystko. Zrozumiałem i ja! Zrozumiałem cudowną hipotezę Benjamina Prevotella!... Nietylko zrozumiałem, ale i uwierzyłem w nią!..

Przerwałem moją niewygodną lekturę w tem miejscu, kiedy Prevotelle przeprowadzał do-

wód, iż wizye w Enclos są obrazami kinematograficznymi, których wszakże źródło znajduje się gdzieś poza amfiteatrem. Wreszcie ostatnie projekcyje nie udały się... Co przeszkodziło widowisku i co zobaczył Benjamin Prevotelle na niebie?

Niebo było czyste, ale na horyzoncie snuły się lekkie obłoczki...

Benjamin Prevotelle opowiadał dalej:

„W miarę jak obłoki rysowały się wyraźniej, obrazy na ekranie zacierają się lub nawet znikają zupełnie... Skoro obłoki się rozpraszały — obraz występował czysto i wyraźnie... Trzy razy stwierdziłem ten fakt... Mógłżeby to być prosty wypadek... Intuicyja podszeptała mi, że pomiędzy temi zjawiskami zachodzi ścisły, nierozrwalny związek... A zatem wpływy pozaziemskie albo przynajmniej z górnych regionów pochodzące. Znalazłem się na progu nowej tajemnicy, nowej zagadki...

W pierwszej chwili przemknęła mi przez mózg myśl, że obrazy mogą być rzucane przez projektor, umieszczony w samolocie... Lecz w tym wypadku musiałoby się zauważyć obecność powietrznego statku, a przytem odległość ewentualna, czyniła przy obecnym stanie nauki tego rodzaju rozwiązanie kwestyi absolutnie nierealnem.

A zatem? a zatem czyż sięgnąć myślą i wzrokiem dalej, przebyć jednym skokiem niezmierną przestrzeń i przyjąć hipotezę, że wyświetlane obrazy są pochodzenia nie tylko pozaziemskiego, ale poza ludzkiego?

Rzuciłem wielkie słowo!... Hipoteza przestała być moją wyłączną własnością... Jakże przyjmą ją te szerokie rzesze, które ten pamiętnik mój czytać będą? Z dreszczem mistycznej trwogi, z ogniem zapału czy z chłodnym uśmiechem niedowierzania?

Zachowajmy zimną krew, moi państwo!... Trzeba poddać wniosek, do którego przywiodło nas ścisłe rzeczowe badanie fenomenów bez-

stronnej analizie mózgowej, trzeba ją przefiltrować przez lejek naszej myśli krytycznej?... Obrazy pozaludzkie... co to ma znaczyć? Określenie to właściwie przekracza granicę naszego pojmowania, myśl ludzka cofa się przed niem... A jednak to jest tak bardzo proste...

Ustalmy granice naszych badań — granice systemu słonecznego i w tem kole olbrzymiem skoncentrujmy wzrok na punktach najbliższych a przez to najwięcej dostępnych... Jeśli to bowiem są istotnie obrazy świetlne, to bez względu na pochodzenie projekcyi ludzkie czy pozaludzkie — muszą one promieniować w jakichś punktach stałych, rozmieszczonych w przestrzeni z gwiazd sąsiadujących z ziemią!.. A mam pewne podstawy po temu, by zaniemać, że stamtąd właśnie, z tych światów nieznanych przybywają do nas owe wliżywe zdumiewające!

Mam na myśli pięć punktów: księżyc, słońce, Jowisza, Marsa i Wenus.

Jeżeli z drugiej strony przyjmiemy hipotezę, że projekcye padają po linii prostej, to gwiazda nieznaną, wysyłającą ku nam owe czarodziejskie wizye winna odpowiadać dwom warunkom: musi znajdować się w położeniu, któreby umożliwiałoby robienie zdjęć, oraz musi zdobyć możność przesyłania nam tych obrazów. Jako przykład weźmy wypadek, który pozwala ściśle określić miejsce i datę. Balon Mongolfierich wzniósł się w powietrze 5 czerwca 1783 r. o g. 4 po południu w okolicy d'Annonay. Należy więc uświadomić sobie, jakie gwiazdy znajdowały się wówczas na horyzoncie i na jakiej wysokości. Zatem konstantujemy kompletny zachód Marsa, Jowisza i Księżyca, podczas gdy Słońce i Wenus znajdowały się po stronie zachodniej horyzontu Annonay. Tylko te gwiazdy mogły obserwować doświadczenia braci Montgolfierich. Ale nie widziały one ich pod tym samym kątem: zdjęcie z Słońca pokazywałoby rzeczy w dalszej perspektywie, natomiast Wenus w tym samym czasie mogła je obserwować pod kątem horyzontalnego nachylenia.

Oto pierwsza wskazówka. Czy możemy ją skontrolować. Tak jest, należy tylko porównać datę, kiedy obraz ten ukazał się oczom pana Wiktoryna Beaugrand z ówczesną konstellacją gwiazdną... Należy sprawdzić, czy i która gwiazda mogła wysyłać promienie na ekran w Enclos. Wiktoryn Beaugrand, stwierdził, że w owym czasie Mars i księżyc już zaszły, Jowisz znajdował się po stronie Wschodu, Słońce zbliżało się tuż do horyzontu, a Wenus zajęła punkt nieco wyżej położony. Zatem tylko z tej planety mogły emanować promienie, na ekran zwrócony jak wiadomo ku zachodowi.

Ten przykład wykazuje, że choć kruche wydaje się napozór moja hipoteza, można ją poddać ścisłej, precyzyjnej kontroli. Nie omieszkam skorzystać z tej samej metody odnośnie do innych obrazów i w swoim czasie wydam specjalną listę weryfikacyjną z najdokładniejszymi szczegółami. Otóż po rzeczowym zbadaniu wszystkich wizyi, po określeniu warunków, w jakich się one na murze w Enclos pojawiły — doszedłem drogą logicznych wniosków do niezłomnego przekonania, że obrazy pozostają w związku z planetą Wenus — **tylko z planetą Wenus.**

Dwa obrazy, które unaocznily Noelowi Dorgeroux i jego siostrzeńcowi egzekucję miss Edyty Cavell musiały być robione rano, ponieważ egzekucya, ofiary niemieckiego okrucieństwa miała miejsce rano. Obraz, odtwarzający bombardowanie Reims zdejmowany był od strony wschodu, ponieważ pocisk ugodził statwę, znajdującą się na wschodniej fasadzie katedry.

Stanowi to dowód, że zdjęcia mogły być robione zarówno rano jak wieczorem, od wschodu i od zachodu. — Jest to poważny argument na poparcie mej hipotezy, ponieważ Wenus, gwiazda wieczoru i gwiazda poranka spogląda na ziemię o świcie od strony Lewantu, a wieczorem od zachodu, a Noel Dorgeroux (otrzymałem telefonicznie potwierdzenie od pana Wiktoryna Beaugrand) — otóż Noel Dorgeroux,

wielki genialny umysł, kazał wybudować mur. którego obie powierzchnie były pod identycznym kątem nachylenia zwrócone jedna ku tej stronie, gdzie słońce wschodzi, druga ku tej, kędy zachodzi... Kolejno zatem przyjmowały promienie wysyłane przez Wenus gwiazdę wieczoru lub przez Wenus gwiazdę wstającego dnia.

Takie są dowody, które na razie mogłem zdobyć. Zostaną one wzmocnione przez głębokie badania i racjonalną obserwację obrazów, które przesuwały się lub przesuną przed naszym wzrokiem na ekranie w Enclos. Ale kwestya pochodzenia obrazów nie wyjaśnia jeszcze zasadniczo kwestyi. Obrazy przybywają z Wenus — oto twierdzenie moje, które wiem, że wywoła protesty wśród oficjalnych przedstawicieli naszej nauki, wśród członków Akademii... Ale teraz nasuwa się pytanie — jaką drogą za pośrednictwem jakich środków i aparatów otrzymujemy to posłannictwo z planety Wenus?!

Sądzę, że nie ulega to dyskusyi, iż działanie promieni świetlnych jest wykluczone w tym wypadku. Sprzeciwiają się temu zasadnicze prawa optyki geometrycznej: pod tym względem Nauka stawia formalne i stanowcze veto!

Sklonny jestem wierzyć, że istoty zamieszkujące planetę Wenus próbowały już porozumieć się z nami przy pomocy sygnałów świetlnych. Zaniechały jednak bezskutecznych wysiłków, ponieważ niedoskonałość naszej wiedzy ludzkiej uniemożliwiała to porozumienie. Wiadomo, że Lowell i Schiaparelli zaobserwowali na powierzchni Wenus jakieś błyszczące punkty, które uznali za objawy erupcyi wulkanicznych. Ja bym raczej sądził, iż to były próby porozumienia.

Nauka jednakowoż nie może nam zabronić zastanawiać się nad kwestyą, czy mieszkańcy Wenus nie mają innego sposobu przesyłania nam swych pozdrowień... Czemuż np. nie pomyśleć o promieniach X, które odbywając drogę ściśle po linii prostej — umożliwiałyby po-

wstawanie obrazów czystych i wyraźnych. Nie jest to bynajmniej rzeczą niemożliwą, aby właśnie promienie X były używane przy wysyłaniu obrazów rzucanych na ekran w Enclos. Ale jak, przy pomocy promieni X wyjaśnić **kine-matograficzne zdjęcia rzeczy ziemskich: zdjęcia robione z innej planety?** Wiemy przecież, jeżeli powołać się na przykład konkretny, że ani bracia Mongolfieri, ani otaczający ich ludzie nie emanowali promieni. A zatem mieszkańcy Wenus nie mogli się posługiwać tymi promieniami przy chwytaniu obrazów?

Oto są wszystkie możliwości, jakie oprzeć się dadzą na podstawach współczesnej nauki. Przyznaję otwarcie, że nie ośmieliłbym się zapuścić na teren hipotez, przewidujących rozwiązanie kwestyi zgoła nowe, gdyby mnie Noel Dorgeroux sam poniekąd do tego nie upoważnił. Rok temu wydałem broszurę zatytułowaną „Nowe przyczynki do prawa grawitacyi powszechnej“. Broszura ta nie wywołała żadnego echa w świecie naukowym, zwróciła jednakowoż uwagę Noela Dorgeroux, ponieważ siostrzeniec jego Wiktoryn Beaugrand znalazł moje nazwisko zanotowane w papierach wuja. Noel Dorgeroux nie mógł skądinąd znać mojego nazwiska, jak tylko z owej broszury. I czyżby mu przyszło do głowy zainteresować się moją skromną osobą, gdyby nie to, że moja teoria o **promieniach grawitacyi**, którą rozwijam w tej broszurze — zgadzała się z problemem jego wielkiego wynalazku? Muszę się na tę pracę moją powołać. Zawarte są w niej rezultaty nie we wszystkich punktach ściśle ustalone — mimo tego godne uwagi. Ogłosiłem tam wyniki moich doświadczeń łączących się z tem promieniowaniem. Szkicuję tam teorię promieni, odbywających drogę po linii prostej z szybkością trzy razy większą niż szybkość światła. (W przeciągu czterdziestu sześciu sekund mogą się one dostać na Wenus, wtedy, gdy jest ona najbardziej do Ziemi zbliżoną). Można się przekonać, że chociaż istnienie tych promieni dzie-

ki którym przyciąganie powszechne dało się ująć w prawa Newtona nie zostało jeszcze stwierdzone — i że nie udało mi się ich jeszcze uwidocznić za pomocą odpowiednio skonstruowanych aparatów — to jednak przytaczam na poparcie mej teorii dowody, które nie powinny być zlekceważone! Aprobata Noela Dorgeroux — umacnia mnie w mojem przekonaniu!

Z drugiej strony wolno mniemać, że jeśli nasza biedna ziemską nauka w pierwotnym jeszcze rudymenarnym stanie pozostająca nie miała pojęcia o istotnym czynniku równowagi Wszechświata — to uczeni z Wenus mają już to stadium niższe poznania dawno poza sobą i posiadają aparaty fotograficzne, pozwalające na robienie zdjęć filmowych przy pomocy promieni grawitacyjnych i to według idealnie doskonałej metody.

Czekali wszakże. Pochyleni nad naszą skromną planetą, poinformowani o wszystkim co się tutaj dzieje, świadkowie naszej bezsilności — czekali na możliwość zaprowadzenia komunikacji pomiędzy nami a ich własną planetą i za pośrednictwem jedynego możliwego w tym wypadku czynnika. Czekali cierpliwie, spokojnie, uzbrojeni w aparaty, niedostępne dla ziemskich uczonych, obrzucając ziemię wiązkami niewidzialnych promieni, skoncentrowanych w ich projektorach i aparatach odbierających, badając pilnie rezultaty swych usiłowań.

I pewnego dnia stała się rzecz cudowna. Pewnego dnia wiązka promieni padła na ekran, powleczone substancjami umożliwiającemi żywiolowy rozkład chemiczny i natychmiastową rekonstrukcję. Tego to dnia dzięki Noelowi Dorgeroux — mieszkańcy Wenus mogli się poraz pierwszy porozumieć z Ziemią!... Największy wypadek w historii naszej planety stał się rzeczywistością!...

Mamy na to dowód, że mieszkańcom Wenus nie obce były pierwsze eksperymenty Noela Dorgeroux, że rozumieli ich doniosłość, intere-

sowali się rozwojem prac jego i śledzili wypadki życiowe, skoro sfotografowali scenę śmierci tragicznej syna starego uczonego D. Dorgeroux. Nie będę przechodził szczegółowo wszystkich filmów, jakie się przesunęły na ekranie w Englos. Tę analizę może sobie teraz przeprowadzić każdy w świetle hipotezy, którą rozwijam. Zwracam jedynie uwagę, że owe istoty z Wenus starały się nadać rzucanym przez się obrazom piętno pewnej jedności. Nasuwa się się fakt przypuszczenie, że owe tajemnicze „troje oczu” — to poprostu marka fabryczna, analogiczna do emblematów ziemskich wytworów filmowych. Tym oczom jednak, nie mającym nic wspólnego z oczyma Ziemian mieszkańcy Wenus umieją nadać wyraz ludzkiego spojrzenia, co więcej upodabiają je do oczu tej osobistości, która będzie odgrywać główną rolę w filmie.

Skądże jednak wybór tej a nie innej marki? Dlaczego właśnie oczy i to troje oczu? Nie wiem jednak czy obecnie warto się zastanawiać nad odpowiedzią na to pytanie? Być może, iż **tamci** chcieli nam w ten sposób dać wyobrażenie o formach życia na ich planecie? Może jest to zdjęcie robione **przez nich i u nich**, odsłaniające nam tajniki bytowania na Wenus. Możliwe, że w związku ze śmiercią Ludwika XVI — chcieli nam pokazać jeden epizod ze swej historii, przedstawiający scenę egzekucji jakiejś wybitnej ich osobistości.... Może to kat ucina głowę, opatrzoną trojgiem oczu?!... Trzy ręce — troje oczu!... Czyż ośmielę się na tej kruchej podstawie zbudować teorię, że mieszkańcy Wenus są trójsymetryczni, tak jak człowiek ze swojemi dwojgiem oczu, dwiema rękami, dwiema nogami, dwojgiem uszu jest dwusymetryczny? Czyż spróbuję opisać, tak jak to sobie wyobrażam, iż posiadają oni organy takich zmysłów jak zmysł magnetyczny, zmysł przestrzeni, zmysł elektryczności itd.? Nie, nie będę się zapuszczał w te dociekania. To są szczegóły, których dostarczą nam uczeni z We-

nus, jeżeli uda się im udoskonalić komunikację z Ziemią. A mam to niezłomne przekonanie, iż im się uda! Siłą się na to już od wieków. „Porozmawiajmy” — powiedzą nam wkrótce, tak jak zapewne powiedzieli to Noelowi Dorgeroux. On **wiedział** i w chwili gdy rażony ciosem mordercy walczył ze śmiercią, pragnął jeszcze na dole ekranu nakreślić formułę decydującą...

Promienie B... B. e. r. g. e.

Promienie B!... Noel Dorgeroux określił wyraźnie te **promienie grawitacyjne**, o których istnieniu dowiedział się z mojej broszury a może też ze swej międzyplanetarnej korespondencji z istotami, zamieszkującymi Wenus. A tam na Wenus nauczono się tak zużytkowywać te promienie, jak u nas każdy fotograf posługuje się promieniami świetlnymi.

A te pięć liter Berge nie stanowią bynajmniej początku imienia Bergeronette. Była to fatalna omyłka, której ofiarą padła Beranżera Masignac.

To ma być słowo „Berger” (pasterz). Noel Dorgeroux w chwili agonii, kiedy mózg jego przesłoniły już ciemności, nie znalazł innego określenia dla planety Wenus jak Gwiazda Pasterska (Etoile du Berger)... Oszabła jego ręka zaledwie kilka zdołała nakreślić liter. Dla mnie jasne jest, że on, który **wiedział**, chciał przed śmiercią stwierdzić, że za **pośrednictwem promieni grawitacyjnych** Gwiazda „du Berger” przesyła ziemi żywe obrazy, odgrywające rolę znaków porozumiewawczych.

Jeżeli przyjmiemy się wszystkie wnioski, wynikające logicznie z zawartego w tym krótkim szkicu materiału dowodowego — to jednak pozostaje jeszcze wiele punktów niewyjaśnionych. Jak skonstruowane są aparaty obserwacyjne i projekcyjne, którymi posługują się mieszkańcy Wenus. A następnie kwestya jeszcze ważniejsza: na czym polega tajemnica ekranu w Enclos? Jaki jest skład chemiczny substancyi, które umożliwiają widzialność obrazów?... Jak się

te substancje rozkładają i znowu rekonstrują? Nauka ludzka w obecnym stadium swego rozwoju nie może odpowiedzieć na te pytania, nie ma jednak ogłosić swego bezwzględego veto! Może powiedzieć: nie wiem, ale niech nie mówi, to niedorzeczność! Raczej obowiązkiem jej jest użycie wszystkich rozporządzalnych środków na wyjaśnienie tej kwestyi ważniejszej niż wszystkie zagadnienia, które dotychczas zajmowały umysły uczonych. Podobno pan Massignac zniknął bez śladu. Trzeba skorzystać z tej sposobności. Należy amfiteatr w Enclos ogłosić za własność narodową. Jest to niedopuszczalnym przecie, aby jakaś jednostka z wykluczeniem całego społeczeństwa posiadała na wyłączną własność tak niesłychanie doniosłą tajemnicę i mogła ją w każdej chwili unicestwić, odbierając ludzkości rezultaty wysiłków genialnego badacza. To nie powinno mieć miejsca!... Musimy się postarać o to, aby w jak najkrótszym czasie zdobyć sposób stałego porozumiewania się z mieszkańcami Wenus!... Oni nam opowiedzą historję naszej przeszłości od tysięcy wieków i wtajemniczą nas w istotną treść zagadek wszechświata, które wyprzedzając nas zdołali już dawno rozwiązać, umożliwią nam być może korzystanie z dobrodziejstw cywilizacyi tak wysokiej, że nasza ziemską zdaje się przy niej szczytem ignorancyi, dzikością, marnymi wysiłkami pierwotnych istot.

— 0 —

ROZDZIAŁ VI.

Wargi w pocałunku złączone.

Wystarczy przeczytać dzienniki z owego czasu, aby sobie zdać sprawę, jakie wzburzenia wywołały rewelacye Benjamina Prevotelle'a. Leżą przedemną na stole 4 numery dzienników z datą dnia następnego. Na ośmiu stronach każdego z nich nie było ani jednego artykułu, ani jednej

notatki, w którychby nie poruszano kwestyi wspaniałe hipotezy.

Na ogół panowała jednomyślność, rzeczowa aprobata lub burzliwy entuzjazm. Zaledwie kilka głosów protestu ze strony oficjalnych przedstawicieli nauki, przerażonych śmiałością rozumowania młodego studenta. Dla olbrzymiej wszakże części publiczności kwestya straciła charakter hypotetyczny... Teoryę Benjamina Prevotelle'a uznano za niewzruszoną prawdę.

Każdy dodawał swój własny dowód — jako cegłę do budującego się gmachu. Zarzuty, wszelkie wydawały się prowizorycznymi, a obalić je miało dalsze rzeczowe badanie fenomenalnych zjawisk. To była ostateczna konkluzya ze wszystkich artykułów, wywiadów i listów otwartych. Publiczność domagała się energicznie urządzenia seryi eksperymentalnych seansów w Enclos. Wśród tego gorączkowego rozentuzjazmowania — porwanie Massignaca zeszło na plan drugi... Pan Massignac zniknął? Niewiadomo, kto go porwał i kto go więzi? Niech będzie. Rzecz małej wagi. Okazywała się zbyt dobra, aby z niej skorzystać. Opinia publiczna nagliła, aby rozpocząć próby.

Co do mnie, to nie zdradziłem ni jednemu słowem mej awantury w Bougival, obawiając się kompromitacyi dla Beranżery, wpłątanej tak bezpośrednio w tę zbrodniczą aferę. Postanowiłem jednakże zbadać teren działania Velmota i udałem się na wyspę na Sekwanie. Wypytyując unieszkańców nieznacznie, dowiedziałem się, że Massignac i Velmot mieszkali tam jakiś czas w zimie, w towarzystwie jakiegoś kilkunastoletniego chłopca. Zwiedziłem dom, w którym jeden z nich pod przybranem nazwiskiem wwnajął mieszkanie. Dom był pusty. Trochę sprzętów, trochę naczyń kuchennych — oto wszystko.

Na czwarty dzień po artykule Prevotella zebrała się w Enclos komisya obserwacyjna. Ponieważ niebo było zachmurzone, więc ograni-

czono się tylko do zbadania muru i szarej substancji, którą ekran był powleczoney. Analiza nie dała żadnych specjalnych rezultatów. Stwierdzono, że ta substancja stanowi amalgamat materii organicznych i kwasów. Te połączenia chemiczne, z jakiegokolwiek strony rozpatrywane nie mogły przyczynić się w niczem do wyjaśnienia czarodziejskich obrazów. Szósteo dnia niebo się wypogodziło, zajaśniało czystym, niezamąconym żadną chmurką błękitem. Komisya powróciła, wraz z nią przedstawiciele władz i gromadka ciekawych, którzy zdołali się wkroczyć do świąty. Scena, która rozegrała się przed ekranem — miała w sobie coś tragikomicznego. Ci wszyscy ludzie czekali z zapartym w piersi tchem, z oczyma wlepionemi w pusty, szary mur... Nic się nie pojawiło!... Przygnębienie obecnych było tem większe, że obawiano się odrazu takiego wvniku... Czyżby jedynie nieznaną nikomu formułka Noela Dorigeroux mogła wyczarowywać wizye?

Ja byłem o tem najmocniej przekonany, a komisya i publiczność dochodziła do tego samego przeświadczenia. Oprócz zanalizowanej szarej substancji istniał jeszcze płyn, płyn, przyrządzany przez Massignaca ściśle według formuły. Płyn ten zarówno wuj mój jak i Massignac przechowywali we fiolkach i błękitnych flakonach.

Wszelkie poszukiwania były daremne. Nigdzie żadnych fiolek. Ani śladu błękitnych flakonów.

Zaczynano już żałować zniknięcia i ewentualnej śmierci Massignaca. Czyżby wielka tajemnica miała być straconą dla ludzkości w chwili, kiedy Benjamin Prevotelle wykazał całą jej doniosłość?

11 dnia od ogłoszenia rewelacji Benjamin Prevotelle'a — dzienniki zamieściły wiadomość, że trzeci seans w amfiteatrze w Enclos odbędzie się pod kierownictwem samego pana Massignaca.

Istotnie koło południa Massignac zjawił się...

Drzwi były zamknięte i obstawione policją; więc nie mógł wejść!... Ale o trzeciej godzinie przybył urzędnik Prefektury, zaopatrzony w pełnomocnictwo do rokowań...

Massignac postawił swe warunki. Zażądał stanowczo oddania w jego bezwzględne władanie amfiteatru, który miałby być strzeżony przez agentów policyjnych i w przerwach pomiędzy seansami zamknięty dla wszystkich prócz niego samego. Żaden z widzów nie może przynieść ze sobą ani aparatu fotograficznego ani jakiegokolwiek optycznego instrumentu.

Przyjęto jego żądania bez zastrzeżeń. Władza państwowa i opinia publiczna skapitulowały przed beczelnością człowieka, który sam jeden miał moc wywołania cudownych wizyi i nawiązania stosunków z planetą Wenus. Tego rodzaju postępowanie wskazuje na to jak poważnie traktowano hipotezę Benjamina Prevotella.

W głębi serca jednak każdy żywił nadzieję, że nadejdzie chwila odwetu, kiedy cudowna tajemnica stanie się powszechną własnością a Massignac niepotrzebnym.

Czuł on to dobrze, to też z całym cynizmem wydał następujący cyrkularz: „Ostrzega się publiczność, że w razie jakiegokolwiek zamachu na dyrekcyę amfiteatru, ekran będzie natychmiast zniszczony i wynalazek Noela Dorgeroux raz na zawsze unicestwiony.

— Co do mnie — to nie zdziwił mnie zbyt powrót Massignaca, bo już poprzednio mówiło mi przeczuć, że łotr, który wisieć powinien, nie utonął!... Natomiast uderzyła mnie kolosalna zmiana w rysach jego twarzy i w całej postaci. Postarzał się najmniej o dziesięć lat, pochylił, przygarbił. Wieczysty uśmiech, który dawniej zdawał się być przyrośniętym do jego fizyognomii nie rozjaśniał twarzy wychudzonej, żółtej, niespokojnej. Skoro mnie zobaczył, chwycił za ramię i odciągnął na bok.

— A to mnie urządził!... Bandyta przeklęty!... Naprzód zbił mnie jak psa w ciemnym wilgotnym lochu!... Potem wrzucił mnie do wody,

ażeby mi rozwiązać język!... Dziesięć dni musiałem leżeć w łóżku, żeby przyjść do siebie!... To nie jego zasługa z pewnością, że żyję jeszcze! A! nędznik! Zresztą ma i on za swoje... może nawet lepiej mu się dostało aniżeli mnie!... Reka, która go ugodziła, nie drżała!...

O jakiej ręce mówił, i jaki dramat rozegrał się w ciemnościach? Nie pytałem go o to. Jedna tylko rzecz mnie specjalnie interesowała:

Massignac, czytałeś pan pamiętnik Benjamina Prévotelle? Czy jego przypuszczenia są zgodne z prawdą? czy zgadzają się z rozprawą mego wuja, którą pan czytałeś?

Wzruszył ramionami:

— Wszystko jedno. Czy ja chowam obrazy dla siebie? Nie robię tego. Przeciwnie. Staram się pokazać wszystkim i zarobić w ten sposób uczciwie pieniądze... Czego oni mogą chcieć jeszcze, odemnie...

— Chcą zabezpieczyć odkrycie, które...

— Nigdy! Nigdy! — wykrzyknął gniewnie. Dajcie mi święty spokój. Kupilem, tak jest, kupilem! sekret Noela Dorgeroux i zachowam go jako moją wyłączną własność, pomimo wszystko i wbrew wszystkim!... Nie zlekne się żadnych groźb. Nie powiem ani słowa, tak jak nie powiedziałem wtedy, gdym się wił w pazurach Velmota!... Wiktorynie Beaugrand, mówię ci, że sekret Noela Dorgeroux we mnie żyje i razem ze mną umrze!... Przysięgam na to.

Kiedy kilkanaście minut później Massignac szedł na swoje miejsce, nie miał już miny pogromcy dzikich bestyi ale sam wyglądał na wystraszone zwierzę, które płoszy się najłżejszym hałasem.

Woźni uzbrojeni w pałki, towarzyszyli mu jak poprzednio. Dowiedziałem się, że im wypłacono podwóiną gażę.

Ostrożności były najzupełniej zbyteczne tym razem. Massignacowi nie groziło ze strony tłumu żadne niebezpieczeństwo. Publiczność zachowywała niezamącone niczem milczenie, jak gdyby uczestniczyła w jakimś uroczystym obrzędzie religijnym. Nie słyhać było ani oklas-

ków, ani obelżywych wykrzykników. Z całą powagą oczekiwano tego, co ma nastąpić, przy czem nikt nie wątpił, że to nastąpi. Widzowie, zajmujący wyższe miejsca (wśród nich i ja się znalazłem) podnosili często wzrok ku górze. Na niebie czystem, bez chmur, błyszczała Wenus. Gwiazda wieczoru.

Co za wrażenie! Poraz pierwszy ludzie mieli pewność, że patrzą na nich oczy, które nie są ich własnymi i że czuwają nad nimi umysły, różniące się od umysłów mieszkańców ziemi. Poraz pierwszy odczuwali w dotykalny sposób bezpośrednią łączność z ogromem przestrzeni międzygwiazdnych, zaludnionych dotychczas przez fantastyczne marzenia i nieokreślone nadzieje. Stamtąd, od tych gwiazd dalekich biegło ku nam posłannictwo. To już nie legendy, nie widma, ale żywe istoty przemawiały do nas żywym i zrozumiałym językiem plastycznych obrazów i usiłowały utórować sobie drogę do stałego porozumienia się z nami.

Wreszcie po chwili oczekiwania ukazały się Oczy — Troje Oczu... Tego dnia miały one wyraz niezwyklej łagodności i słodczy, płonęły zda się miłością i budziły w sercach naszych silny oddźwięk sympatii. Co oznaczały te oczy kobiece pełne uśmiechów i obietnic rozkosznych.

W miłym podnieceniu oczekiwaliśmy uroczych rozkosznych scen, jakie miały przesunąć się po ekranie.

Obserwowałem moich sąsiadów. Wszyscy — tak samo jak i ja powyciągali szyje w stronę ekranu. Zauważyłem dwóch młodzieńców pobladłych jak płótno. Jakaś kobieta, której twarz zakrywał welon żałobny podniosła chusteczkę do oczu, gotową wybuchnąć płaczem.

Ukazał się nam naprzód krajobraz w pełnym słońcu, krajobraz włoski o gorącym kolorycie. Po zapylonej drodze pędzili na koniach jeźdźcy w mundurach, noszonych przez żołnierzy w epokę Rewolucyi. Jeźdźcy ci towarzyszyli kolesie zaprzężonej w cztery konie.

Potem ujrzelismy dom w cienistym ogrodzie, na końcu długiej cyprysowej alei. . . Okiennice były zamknięte, a na szerokim, płaskim tarasie kwitły różnokolorowe kwiaty. Kolasę zatrzymała się przed tym domem i odjechała następnie, gdy wyskoczył z niej oficer, który ręką w kształcie szabli zapukał do drzwi. Otworzyły się natychmiast podwoje. Na progu stała młoda wysoka kobieta, wyciągając ramiona ku oficerowi. W chwili jednak, kiedy mieli się złączyć uściskiem — cofnęli się, jakby chcąc odwrócić jeszcze na moment szczęście, aby się niem potem upoić rozkoszniej.

Zobaczyliśmy dokładnie twarz tej kobiety, jaśniejącą nieopisaną ekstazą radości i kochania... Ten wyraz prześwietlający jej oblicze czynił je pięknem i młodem, choć wistocie rysy były niezbyt regularne a przywiedzia nieco cera wskazywała, że kobieta ma już wiosnę młodości poza sobą.

Kochankowie rzucili się sobie w objęcia, ramiona ich splotły się gorącym mocnym uściskiem, a wargi złączyły się w długim pocałunku.

Oficer francuski i jego kochanka Włoszka zniknęli nam z przed oczu. Ujrzelismy ruiny jakiegoś fortu, otoczone wieńcem drzew i oświetlone łagodnym blaskiem księżyca. Z pośród drzew wysunęła się młoda dziewczyna w luźnej powłóczystej sukni. Przystanęła z rozchylonymi ustami i wyciągniętymi rękami. Dostrzegła coś, czego my nie mogliśmy widać. Urodziwa jej twarzyczka rozjaśniła się czarującym uśmiechem. Powiekami przysłoniła oczy i trwała, jakby oczekując... Czekala istotnie na młodzieńca, który podszedłszy ku niej przygnał do jej warg chciwymi ustami. Ona położyła głowę na jego ramieniu.

Scena miłosna, której byliśmy świadkami, wzruszyła nas głęboko, skoro uświadomiliśmy sobie, że mamy przed sobą nie aktorów, ale żywych ludzi z piętnastego stulecia. Oni nie grali dla nas, oni upajali się pierwszym pocałunkiem.

kiem miłości. To właśnie wprowadzało nas w nastrój prawie ekstatyczny. Było to wrażenie, które się nie da w żadne ująć słowa. Widzieć przeszłość — nie ukostyumowaną, nie ucharakteryzowaną po aktorsku, ale prawdziwą, rzeczywistą!

Widzieć tak jak ujrzelśmy w chwilę później — wzgórze greckie! widzieć Akropol pod niebem z przed dwóch tysięcy lat, z jego ogrodami, domami, placami, ulicami, świątyniami... Oglądać Panteon nie w gruzach — ale w całej wspaniałości, otoczony tłumem posągów... Mężczyźni i kobiety wstępują na marmurowe stopnie. To są Ateńczycy i Atenki z czasów Peryklesa lub Demostenesa.

Chodzą. Mijają się. Rozmawiają. Potem znikają. Mała ulica zupełnie pusta. Ściele się w obramowaniu dwóch białych murów. Gromadka ludzi przesunęła się przez tę uliczkę, pozostawiając poza sobą mężczyznę i kobietę. Tych dwoje zatrzymało się nagle, obejrżeli się wokół, poczem ucałowali się gorąco. Z pod welonu przesłaniającego czoło kobiety spoglądały duże czarne oczy o długich rzęsach trzepoczących się jak skrzydła spłoszonego ptaka.

Zrozumieliśmy o co chodziło tamtym z Wenus. Chcieli nam pokazać w różnych epokach naszej przeszłości ten sam gest wiecznie młody, chcieli powiedzieć, że równie jak i my są niewolnikami wszechpoteżnego uczucia miłości. Inne pary przesunęły się, inne epoki zmartwychwstawały, inne objawiły się nam cywilizacje. Zobaczyliśmy pocałunek Egipcyanki i młodego fellaha... W wiszącym ogrodzie całowali się księżniczka assyryjska i mag. We wnętrzu jaskini dwie istoty ludzkie, wyglądem swym mało różniące się od zwierząt przyłgnęły do siebie wargami... I inne... inne jeszcze. Wizye krótkie, niektóre mało wyraźne, zatarte nieco jak barwy na starożytnym fresku wszystkie jednak tchnące zarówno poezią jak brutalną rzeczywistością, uderzające siłą namiętności i wiecznotrwałem pięknem.

I zawsze oczy kobiece stanowiły punkt, skupiający wszystkie promienie, zawsze one czarne lub błękitne gwiazdy zamykały w sobie tajemnicę niezgłębionej rozkoszy. W tych oczach lśniły łzy, jaśniały uśmiechy, migotała wesołość, przezierала rozpacz, płakała melancholia, wabił szal upojen... Tyle tam było słodczy, wdzięku, miłości, rozkosznej perfidy, tyle niebezpiecznych czarów i ponęt kuszących... Z jakimż precudnym pełnym niewysłowlonej gracy gestem podawały swoje wargi do pocałunku...

Ostatnich obrazów nie widziałem już, bo fala ludzka pchnęła mnie ku owej kobiecie w żalobie, której oblicze zakrywały krepowe welony.

Odrzuciła teraz w tył czarne zasłony. Zobaczyłem Beranżerę!

— Ty! ty!

Podniosła ku mnie swe promienne źrenice, otoczyła mi szyję ramionami i szepcząc słowa miłości podała mi usta.

Nie śmiałem jej pocałować, ale ona zaszemrała:

— Proszę cię... błagam...

Usta nasze społyły się. Bez słów, bez wyjaśnień zrozumiałem, że to co mówił Massignac o swej córce, to były podle insynuacje... Beranżera była steroryzowaną ofiarą dwóch bandytów, ale nie przestała mnie nigdy kochać...

ROZDZIAŁ VII.

Wizye męża Zbawiciela.

Następny seans poprzedziły dwie ważne notatki w dziennikach wieczornych. Pewna grupa finansistów zaproponowała Teodorowi Massignacowi za sekret Noela Dorgeroux i prawo eksploatacyi amfiteatru dziesięć milionów. Na jutro Massignac miał dać decydującą odpowiedź.

Druga wiadomość zawierała sensacyjną rewelację. Służąca, która pielęgnowała Massignaca kilka tygodni temu w jego domu w Tuluzie — złożyła zeznanie, że chorobą jej pana była udana, że wydalal się on kilka razy z domu potajemnie, starając się ukryć swą nieobecność przed sąsiadami. Jedną z tych potajemnych wycieczek schodziła się z datą śmierci Noela Dorgieroux. Doniesienie to zmuszało organa władzy bezpieczeństwa do wdrożenia śledztwa przeciwko Massignacowi. Z tych dwóch wiadomości wynikało, że sekret Noela Dorgieroux może być w drodze kupna uratowany dla ludzkości lub też w razie aresztowania Massignaca bezpowrotnie stracony.

Taka alternatywa przyprawiała wóldzów o tem silniejsze zdenerwowanie. Mieli bowiem powód obawiać się, że ostatni raz uczestniczą w seansie w Enclos. Komentowano z zajęciem artykuły dziennikarskie, podnoszono wszystkie za i przeciw hipotezie. Zapewniano, że Prevotelle, któremu Massignac zabronił chodzić do amfiteatru, przygotowuje seryę doświadczeń mających wykazać słuszność jego teorii.

Nawet ja, który od wczoraj myślałem tylko o Beranżerze, tej dziwnej dziewczynie, co połączywszy się ze mną, pocałunkiem miłosnym, zniknęła potem, zgubiła się w tłumie — zapomniałem teraz o niej. Ekran jedynie zajmował moje myśli...

Problem mojego osobistego życia gubił się w wielkiej tajemnicy wszechświata.

Troje oczu spojrzało na nas tym razem wzrokiem, pełnym niewysłowionego bólu i nieskończonej bezkresnej dobroci. Obrazy, które się potem pojawiły, były stwierdzeniem słuszności słów proroczych Noela Dorgieroux: „Przyjdą tutaj tłumy pielgrzymów i padną na kolana, płacząc jak dzieci.

Droga uciążliwa, kamieniami usiana wiodła na łyse wzgórze, w spiekocie słońca stojące, pozbawione ożywczej ochłody, cienia. Ziemia wyschnięta, spękana! Tłum ludzi podnieconych,

rozgadanych piał się po tej spadzistej drodze. Porozwiewane, gdzieniegdzie podarte tuniki na ich grzbietach, gwałtowna gestykulacja i wyraz twarzy nadają im wygląd żebraków lub biednych rzemieślników rasy wschodniej. Droga znika, aby znów ukazać się na wyższym poziomie. Widzimy, że cała ta masa ludzka towarzyszy oddziałowi żołnierzy, których strój i uzbrojenie wskazują, że to legionści rzymscy. Żołnierzy tych jest kilkudziesięciu. Kroczą powoli, nie w ordynku wojskowym, lecz rozsypanej bezładnie. Na ramionach mają włócznie, a niektórzy niosą hełmy w ręku. Niekiedy zatrzymują się i piją. Po jakimś czasie można sobie zdać sprawę z tego, że legionści tworzą eskorty dla grupy środkowej, złożonej z kilku wodzów i kilku osobistości w szatach kapłańskich. Nieco opodal idą cztery niewiasty kryjące swe oblicza pod zasłonami. Nagle w chwili, gdy tłum rozsunał się nieco — spostrzegamy widoku, ciężki krzyż, pod którego ciężarem ugiął się człowiek, niosący go na miejsce swej kazi. Chwieje się. On co krok prawie, zbiera znowu siły, podnosi się, pada, wlecze się, potyka się o ostre przydrożne kamienie... Upadł raz jeszcze i leży bez ruchu. Rązy batami wymierzane przez jednego z żołnierzy nie wywierają żadnego skutku. Wyczerpały się Jego siły. Dwa razy jeszcze widzimy w dwóch dalszych stadyach — drogę krzyżową... Dwa razy zwraca się ku nam oblicze Skazanego na śmierć... Inne ono jest niż wizerunki, któreśmy oglądać nawykli, a jednak poznajemy... To On, Ten, który umarł dla nas na krzyżu... żyje w naszych oczach. Cierpi. Zobaczymy Jego mękę i śmierć!

Żołnierze przybyli już na miejsce Męki. Widzimy wznoszący się krzyż, a pod nim pochylone w ciężkiej boleści niewiasty. Agonia się zaczyna...

Nigdy chyba żadne zbiorowisko ludzkie nie było wstrząsane tak gwałtownem i głębokiem wzruszeniem... Oglądać własnymi oczyma to,

co dotychczas odtwarzano według niepewnych dokumentów... Wiara nasza stawiała się ciałem... On umierał na krzyżu, a cztery niewiasty zmywały Jego stopy łzami... Na wierzchołkach dwóch sąsiednich pagórków — wznosiły się dwa krzyże, z przygwożdżonemi do nich postaciami ludzkiemi.

Kiedy ostatnia wizja ukazała nam Jego umęczone Ciało, słodką Głowę pochyloną na piersi w niezmiernym bólu, — tłum jakby jedną myślą, jednym czuciem przeniknięty — padł na kolana... kobiety i mężczyźni — wszyscy wyciągali ramiona ku Człowiekowi-Bogu, który umierał...

Kto tego nie widział, ten pojąć nie może; słowa moje nie są zdolne odtworzyć rzeczywistości. Wszak nie tylko oglądaliśmy prawdziwą Mękę Zbawiciela, ale nasi bracia z dalekiej planety, przesyłając nam ten obraz — dawali do zrozumienia, że i oni ożywieni są tą samą religijną wiarą i idealnemi aspiracyami. Przecież poprzednio oznajmili nam, że i oni przechodzili analogicznie, jak ziemianie, przewroty polityczne i że oni tak samo jak ludzie znają potęgę i rozkosz miłości!... A zatem te same etapy cywilizacji, te same wierzenia, te same instynkty — nawet identyczne uczucia!

Posłannictwo tak wyraźne, tak oczywiste musiało wywołać u widzów gorące pragnienia nawiązania bliższych stosunków z **tamtym**... Ileż to zagadek mogłoby być rozwiązanych, ile problemów wyjaśnionych, problemów przeszłości, problemów cywilizacji i przeznaczenia...

A niepewność wstrząsała wszystkimi silniej niż dnia poprzedniego... Co stanie się z tajemnicą Noela Dorgeroux? Sytuacja tak się przedstawiała: Massignac zgodził się przyjąć ofiarowane mu dziesięć milionów — pod warunkiem wszakże, że pieniądze dostanie zaraz po seansie wraz z glejtem bezpieczeństwa do Ameryki. Śledztwo prowadzone w Tuluzie potwierdzało oskarżenie służącej, mimo tego sprawiedliwość państwowa gotowa była dla wynalazku Noela

Dorgeroux uczynić ustępstwo. Rząd sądził, że pod grozą matymniastowego aresztowania, Massignac skłonnym okaże się do sprzedania tajemnicy. Uzbrojeni ludzie mieli pilnować każdego jego kroku i w razie próby ucieczki chwycić go odrazu za kołnierz. Kiedy żelazna kurtyna odsłoniła ekran — miejsce woźnych amfiteatru zajmowali agenci policyjni.

W ten sposób rozpoczął się seans, któremu towarzyszące okoliczności szczególnie doniosłe nadawały znaczenie.

Wyjątkowo Troje Oczu nie ukazało się wcale tym razem. Odrazu wprowadzono nas w rzeczywistość. W cienistym ogrodzie siedziała wśród kwitnących drzew młoda, piękna kobieta, ubrana według mody 1830 r. Haftowała ona pilnie, podnosząc niekiedy oczy jaśniejące wyrazem serdecznej tkliwości na malutką dziewczynkę, igrającą koło niej wesoło. Dziecko bawiło się babkami z piasku, niekiedy zaś przerywając sobie zabawę, podbiegało ku młodej kobiecie, wskakiwało na kolana, zarzucało jej rączkę na szyję i twarz okrywało gorącymi pocałunkami. Przez kilka minut — ten obraz jasny, pogodny. Potem gałęzie gęstwy drzew rozsunały się za plecami matki... Wyszedł stamtąd mężczyzna młody także i elegancki.

Twarz jego jest twarda, surowa, usta zaciśnięte. W ręku trzyma nóż. Postępuje ostrożnie naprzód kilka kroków. Kobieta nie może słyszeć odgłosu jego stąpania, a i dziecię go nie widzi. Mężczyzna idzie dalej, zachowując jak największą ostrożność. Obawia się widocznie, aby piasek nie zaskrzypiał mu pod nogami, aby nie zdradził go chrzęst odłamanej gałęzi. Zbliża się ku kobiecie oblicze jego nacechowane jest wyrazem okrutnego, niezłomnego postanowienia. A kobieta ciągle uśmiecha się promiennie, nie przeczuwając niczego złego. Ramię mężczyzny podnosi się nagle i gwałtownie opada, wymierzając cios nożem w samo serce. Kobieta runęła na ziemię. Wązka struga krwi czerwieni się. Mężczyzna pochyła się przez

chwilę nad nieruchomem ciałem, potem cofa i znika w gęstwinie, unosząc ze sobą nóż krwią zbaczony.

Dziecko nie przestało się bawić. Śmieje się i szczebiocze. Obraz znika.

Widzimy teraz dwóch mężczyzn, spacerujących po pustej drodze, przez którą przepływa wązka rzeczka. Rozmawiają oni ze sobą, — tak swobodnie, niefrasobliwie, jak się mówi o zeszłorocznym śniegu lub o pięknej pogodzie. Nagle spostrzegamy, że jeden z mężczyzn trzyma w ręku rewolwer, kryjąc go za plecami. Obaj zatrzymują się i kontynuują rozmowę. Ale twarz uzbrojonego zmienia się, nabiera tego samego wyrazu okrucieństwa, jaki cechował oblicze pierwszego mordercy. Szybko jak błyskawica ruch napastniczy, stisał, tamten pada, a morderca rzuca się na niego i wydziera mu z kieszeni portfel. Przesunęły się przed nami jeszcze cztery obrazy zbrodni, w których występowały nieziane nam zgoła osoby. Były to wypadki różne, mające wszakże jedną wspólną cechę: naprzd scena spokojna, pogodna, potem napad morderczy w całej swej grozie i bestyalstwie...

Był to widok okropny. Szczególnie denerwowało nas ufne spojrzenie ofiary, za którą czaiło się już widmo śmierci... Oczekiwanie ciosu, którego nie mogliśmy odwrócić, wprawiało nas w nastrój przykrego przygnębienia.

I ukazał się nam obraz ostatni, wywołując głuchy pomruk na widowni amfiteatru. Ujrzelśmy dobrze znaną twarz... Noela Dorgeroux!

— 0 —

ROZDZIAŁ VIII.

Świadectwo zbrodni.

Odrazu gdy na ekranie pojawiło się to oblicze znane jednym osobiciem, innym z licznych wizerunków — jedna myśl przebiegła wszystkim mózgi. Zrozumieliśmy. Wszak dzisiaj mł-

liśmy przed sobą seryę obrazów zbrodniczych. Sześć ofiar padło pod ciosami morderców — mój wuj miał być siódmą. Tamci chcieli nam pokazać śmierć jego, skonfrontować z nami mordercę!

Pierwszy obraz przedstawiał scenę z rodzinnego życia Noela Dorgeroux. Syn jego Dominik w mundurze wojskowym żegnał czule ojca, który patrzył na niego z bezgranicznym smutkiem, jakby przeczuwając, że go już więcej nie zobaczy. Potem widzimy go w ogrodzie w Enclos. — wśród budynków mieszczących pracownię. Pomiędzy drzewami przemyka zgrabna, wiotka postać niedoroślej dziewczynki. To Beranżera w wieku trzynastu lub najwyżej czterestu lat.

Nastąpił potem cały szereg obrazów, wykazujących dowodnie, jak tam interesowano się życiem i pracami Noela Dorgeroux. On garbi się i starzeje. Beranżera rośnie, co jednak nie przeszkadza jej śpiewać, biegać i skakać.

W tym samym dniu, kiedy ją zobaczyliśmy rozkwitłą, uroczą dziewczyną — ujrzelśmy jednocześnie, jak Noel Dorgeroux, stojąc na drabinie smarował mur długim pendzlem, maczanym w jakimś roztworze. Stary uczonec cofa się na chwilę, spogląda uważnie, bada mur, ten sam mur, na którym teraz przesuwają się czarodziejskie wizye... Zdaje się, że Noel Dorgeroux czeka na coś i szuka czegoś...

Obraz znika — następuje zmiana. Na ekranie ukazuje się amfiteatr niewykończony jeszcze — taki, jakim był wtedy, gdy znalazłem zwłoki mego wuja. Noel Dorgeroux otwiera skrytkę wydrążoną w murze i coś tam porządkuje. Nagle poza amfiteatrem zaczynają się rysować drzewa i kobierzec zielony łąki. Mężczyzna jakiś idzie tamtędy. Ja odrazu poznałem tę sylwetkę. To morderca. Owinał się w szary, od pyłu chroniący płaszcz i podniósł tak wysoko kołnierz, że styka się on z brzegami szerokiego, na oczy naciśniętego kapelusza. Chód tego człowieka jest dziwnie nerwowy i

niespokojny. Krokiem szybkim, skradającym się — przenika do Enclos. Noel Dorgeroux stoi ciągle przed ekranem. Zamknął skrytkę i zapisuje coś w notatniku. Ofiara nie przeczuwa podstępного napadu. Przybyły mężczyzna zrzuca płaszcz i kapelusz, zwracając jednocześnie twarz w naszą stronę. To Massignac!..

Wszyscy byli z góry tak pewni tego, że to będzie właśnie on, a nikt inny, że nawet nie wyrażano zdumienia.

Scena zabójstwa trwała krótko. Biedny mój wuj ani przez sekundę nie przypuszczał, że tuż koło niego czai się śmierć... Nie było też żadnej walki — aż do chwili, gdy ogarnięty wściekłym szałem zbrodniarz, rzucił się na leżącego na ziemi, śmiertelnie zranionego i chciał go ugodzić raz jeszcze... Ten bestyalski gest rozpętał gniew zebranego tłumu, gniew hamowany dotychczas przez jakąś nieumotywowaną, nieracjonalną nadzieję... Przecięły powietrze krzyki, dobywające się z tysięcy piersi, zafalało rojowisko ludzkie i popłynęło zbitą masą w stronę żelaznej klatki, gdzie jak dziki, ścigany zwierz Massignac usiłował ratować się...

Nie wiem, jak się to wszystko stało. Massignac, widząc, na co się zanosi, chciał uciekać, ale natrafił na nieprzełamaną zaporę w postaci dwunastu agentów policyjnych, którzy mu ze wszech stron zagradzali drogę. Ci agenci usiłowali też powstrzymać napór tłumu, który w obłędzie wściekłego gniewu, jał wylamywać żelazne pręty. Jednak siła tych dwunastu barczystych ludzi okazała się znikomo niewystarczającą wobec przeważających liczebnie napastników.

Tłum wdarł się do klatki. Zobaczyłem Massignaca z rewolwerem w każdej ręce. Huknęło kilka strzałów. Ozwały się jęki. Massignac skorzystał z chwilowego wahania, aby nacisnąć z błyskawiczną szybkością jeden z guzików elektrycznych. I oto u góry ekranu otwarta się nieznana nikomu skrytka, z której trysnęły

strugi niebieskawego płynu, zlewając obficie całą powierzchnię muru.

Przypomniałem sobie złowieszcze słowa Massignaca:

— Jeżeli umrę, to sekret Noela Dorgeroux zginie razem ze mną...

W obliczu strasznego niebezpieczeństwa, przeniknięty śmiertelną trwogą miał jednak na tyle przytomności umysłu i zaciętości, że wykonał swą groźbę. Dzieło Noela Dorgeroux było zniszczone! A jednak próbowałem rzucić się na ratunek temu łotrowi, bo błysnęło we mnie światelko nadziei, że może... może razem z jego życiem uda się ocalić formułę... Ale tłum chwycił swoją ofiarę i póty pastwił się nad nią, dopóki ociekając krwią konająca nie osunęła się na ziemię... Po wybuchu wściekłego gniewu nastąpiła reakcja... Coś jakby przestraszyć czy polutowanie odmalowało się na wszystkich twarzach... ktoś mnie zawołał:

— Prędko, prędko chodź pan... On wymawia pańskie imię.

Kiedy rzuciłem okiem na tę krwawą masę ciała ludzkiego rzuconą pomiędzy dwa fotele — zrozumiałem, że niema już żadnego ratunku. Cud to był zaiste, że ten trup oddychał jeszcze. A jednak zbieleiałe wargi wymawiały moje imię. Usłyszałem to wyraźnie, gdy pochyliłem się nad nim mówiąc:

— To ja — Wilktoryn Beaugrand. — Co mi masz do powiedzenia?

Udało mu się podnieść powieki. Spojrzał na mnie zmaconym, umierającym wzrokiem i wybelkotał:

— List.. list.. zaszyty w podszewce... Przetrząsałem strzepy materyi, które pozostały z jego zakładu i istotnie znalazłem list. Na kopercie widniało moje nazwisko...

— Otwórz... otwórz... — zaszemrał ostatnim wysiłkiem.

Rozerwałem kopertę. Było tam tylko kilka wierszy, skreślonych wyraźnem, wielkiem pis-

mem. Przeczytałem tylko pierwsze słowa:

Beranżera zna formułę...

— Beranżera! — zawołałem — **Beranżera!**... Ależ gdzie ona jest?! powiedz mi, na miłość Boską, gdzie jest?!

Zrozumiałem natychmiast, że popełniam nieostrożność, wykrzykując tak głośno imię **ośki** Massignaca. Pochyliłem się więc nad leżącym i nateżyłem słuch by uchwycić ostatnie słowa Massignaca. Powtórzył on kilkakrotnie:

— Beranżera... Beranżera... zamek... zamek w Pre-Bony...

Ustrój nasz psychiczny jest tego rodzaju, że podlega wrażeniom zewnętrznym nawet w tym wypadku, gdy umysł jest zaabsorbowany jedną wyłącznie myślą. I tak w tej chwili gdy powtarzałem sobie, wbijając w pamięć: **Zamek w Pre-Bony... Zamek w Pre-Bony**, — coś mnie tknęło, że to nie ja sam jeden słyszałem ten adres... I jednocześnie uświadomiłem sobie, że **tamten** ktoś mógł także przeczytać początek listu Teodora Massignaca... Ten ktoś to nie był nikt inny, jak tylko Velmot!... Jakieś indywiduum od dzieliło się od grupy, otaczającej mnie i umierającego Massignaca i zaczęło biec ku drzwiom wyjściowym. Krzyknąłem... zawołałem: Velmot!... Poznałem agentów w pościgu za nim... zapóźno!...

Sytuacya była straszna!... Ten bezwzględny człowiek, który nie zawahał się torturować Massignaca, aby mu wydrzeć sekret Noela Dorge-roux — wiedział teraz, że Beranżera zna formułę i co więcej, wiedział, gdzie się ona teraz ukrywa...

Zamek w Pre-Bony... Gdzież to mógł być ten zamek? W jakimże zakątku Francyi ukryła się Beranżera? Domyślałem się, że musi znajdować się gdzieś niedaleko od Paryża, skro dwa dni temu przybyła na scenę do Enclos... choćby jednak to było najbliżej — to w jakiej szu-kać stronie?... Wszak w okolicach Paryża istnieją tysiące zamków.

— Jednak — mówiłem sobie — rozwiązanie

dramatu kryje się właśnie w tym zamku... Wszystko stracone, ale też wszystko może być uratowane, jeżeli zdołam przybyć tam na czas... Ekran zniszczony, ale formuła Noela Dorge-roux, którą zna Beranżera, pozwoli mi go zrekonstruować... Trzeba się spieszyć... Jeżeli nie znajdę zamku w Pre-Bony przed wschodem słońca, to Velmot niechybnie porwie Beranżerę.

Przez cały wieczór zbierałem informacje. Raziłem się atlasów, przewodników podróży, rozkładów jazdy, map. Pytałem, telefonowałem... Ale znikąd, nie mogłem otrzymać żadnej wskazówki co do zamku w Pre-Bony. Dopiero rano po nieprzespanej nocy przyszła mi myśl, aby rozpocząć poszukiwania tam, gdzie przez jakiś czas z pewnością przebywała Beranżera. Automobilem wyjechałem w stronę Bougival. Nadzieje moje były bardzo słabe. Lecz obawa, aby Velmot nie odnalazł wcześniej schronienia mojej drogiej dziewczyny skłaniała mnie, że usiłowałem wmawiać w siebie:

— Otóż właśnie, że jestem na właściwym tropie... Z pewnością odnajdę Beranżerę... ten bandyta nie zobaczy jej nawet...

Miłość moja, jaką czułem dla Beranżery wyswobodziła się nagle z wątpliwości i podejrzeń, które dotychczas patruwały mi serce... Nie rozmyślałem teraz zresztą nad niezrozumiałymi dla mnie szczegółami, nie usiłowałem sobie tłumaczyć jej postępowania... choćby jej pocałunek gorący nie był zatarł złego wspomnienia, to niebezpieczeństwo grożące podsycalo żywy płomień mego uczucia.

Pierwsze moje badania w Ville d'Avray, w Marnes w Vaucresson nie dały żadnego rezultatu. Nikt nie mógł mi udzielić informacji o zamku w Pre-Bony. Nie znamo nawet tej nazwy. W Saint-Cloud nowe fiasko! Ale w jednej oberży trafiłem na ślady Velmota. Powiedziano mi, że kręcił się tu dzisiaj rano wysoki, błądy pan, który dawniej nieraz jechał automobilem w kierunku Bougival. Zadałem kilka pytań odnośnie do powierzchowności tego pana i doszedłem

szybko do przekonania, że Velmot mnie wyprzedził!... O całe cztery godziny! **A. on wiedział dokąd się udać! I pożałował Berażnery!**... Cztery godziny dla bandyty silnego, zuchwałego, nie mającego już nic do stracenia, wygrywającego swój ostatni atut!... Co mogło powstrzymać?... Skrupuły?... tych nie znał!... Jakże mu łatwo było teraz zawładnąć Berażerą, przymusić ją do zdradzenia sekretu... Wszak jej pożałował!...

Przypominam sobie, że grzmotnąłem pięścią w stół w oberży i zawołałem z gniewem:

— Nie... nie!... to niemożliwe! Zamek, o który pytam, musi być gdzieś blisko!... Żądam, żeby mi wskazano drogę!...

Zacząłem krzyczeć tak głośno, że ludzie zbiegli się z całej oberży i skupili wokół mnie. Rozgorączkowany zadawałem znowu pytania, które pozostawały wszakże bez odpowiedzi. Wreszcie ktoś przypomniał sobie, że w lasach koło Saint-Cucufa o cztery kilometry od Saint-Cloud istnieje rozdroże, zwane przez niektórych Pre-Bony... Jedna z krzyżujących się tam dróg wiodła do nowej, dosyć skromnej, wyglądającej willi, zamieszkałej przez młodą parę małżeńską, hrabiego i hrabinę de Roncherolles.

Pistanowiłem mi zwlekając udać się do tej willi, gdzie też znalazłem się wkrótce. W chwili, kiedy miałem wejść do ogrodu okalającego willę ujrzałem młodego człowieka milej powierchowności, który zsiadał z konia.

— Czy to jest zamek w Pre-Bony?

Oddał cugle swego wierzchowca stajennemu — poczem odparł z uśmiechem:

— Przynajmniej tak pompatycznie nazywają ten skromny dom w Bougival...

— O!... — szepnąłem wzruszony — więc to tutaj!...

Młody człowiek przedstawił mi się. Był to hrabia de Roncherolles.

— Czy mogę wiedzieć — zapytał — z kim mam przyjemność?...

— Jestem Wiktoryn Beaugrand — i bez żadnych wstępów i omówień przystąpiłem do rze-

czy, bo twarz tego człowieka szczerą i sympatyczną budziła we mnie zaufanie.

— Chodziło tutaj o Beranżerę Massignac? Ona znajduje się pod tym dachem nieprawdaż?

Hrabia de Roncherolles zaczerwienił się z lekka i popatrzył na mnie uważnie. Chwyciłem go za rękę.

— Panie! błagam pana!... Sytuacja jest groźna... Beranżerę ściga niebezpieczny łotr...

— Któż to taki?

— Velmot!

— Velmot?

Hrabia, odrzucając maskę obojętności, rzekł:

— Velmot! Velmot! ten wróg, przed którym biedna dziewczyna taką uczuwa trwogę!... Tak, to człowiek zdolny do najgorszych rzeczy!... Na szczęście nie ma pojęcia, gdzie się Beranżera ukrywa.

— Od wczoraj niestety wie już!..

— W każdym razie trzeba mu czasu na obmyślenie jakiegoś sposobu działania!...

— Dzisiaj rano, wieśniacy widzieli go krążącego niedaleko stąd...

Pokrótkie wtajemniczyłem go we wszystko. Hrabia, zaniepokojony do najwyższego stopnia, pociągnął mnie w głąb domu. Udaliśmy się wprost do pokoju Beranżery. Pokój był pusty. Hrabia nie zdawał się być tem wcale zdziwiony:

— Ona często wychodzi tak wcześnie..

— Może jest gdzieś w samym domu?

— Przy mojej żonie? Nie! moja żona jest trochę cierpiąca i nie wstąpiła jeszcze...

— A zatem?

— Zatem przypuszczam, że udała się na swoją zwykłą przechadzkę do ruin starego zamku... Beranżera lubi bardzo to miejsce — górujące nad całą okolicą.

— Czy to daleko?

— Nie. Na końcu parku.

Park był dość rozległy i trzeba nam dobrych kilka minut czasu, aby się dostać na polankę, gdzie stała kamienna ławeczka.

— O! widzi pan — rzekł hrabia — Beranżera

siedziała na tej ławce... Zostawiła tu nawet książkę...

— I wstażkę... — dojrzałem, ogarnięty nagłą trwogą — panie!... ta wstażka jest zmięta... i trawa koło ławki dziwnie zdeptana... Czy tylko jej się nie przydarzyło coś złego?!

Jeszcze nie zdążyłem dokończyć, kiedyśmy posłyszeli krzyk od strony ruin... Co tchu pobiegliśmy wąską ścieżyną, wiodącą w zakosy na szczyt lesistego wzgórza. Krzyki powtórzyły się, a jednocześnie wśród gruzów starego zamczyska zamajaczyła nam sylwetka kobieca.

— Beranżera!

Nie widziała nas wcale! Uciekała z rozwianymi włosami, szukając widocznie schronienia wśród ruin. Po chwili ukazał się naszym oczom mężczyzna z rewolwerem w ręku:

— Velmot! — wyrwał mi się okrzyk przerażenia z piersi — to Velmot!

Każdą sekunda zdawała mi się wiecznością. Nieprzytomny prawie z trwogi dopadłem zakrętu murów, gdzie schroniła się Beranżera. W chwili kiedy się tam znalazłem — huknął strzał, a potem ozwały się jęki... Pomimo wysiłków zmuszeni byliśmy zatrzymać się, bo gęste cierniowe zarośla zagrodziły nam drogę.. Zrozpaczeni usiłowaliśmy przebić się przez tę zaprę, kaleczącą nam twarz i ręce. Nareszcie zdołaliśmy się uwolnić i wydostać na swobodne miejsce, gdzie wśród zmurszałych kamieni wybujała wysoko trawa rosła.

Na razie nie zobaczyliśmy nikogo. Czyżby ten strzał był złudzeniem słuchowym?... i te jęki?... I gdzież podzieli się Beranżera i Velmot?

Dopiero hrabia, który oddalił się o kilkadziesiąt kroków odemnie — zawołał nagle:

— Oto ona!... Beranżera!... Biedne dziecko: czyś pani zraniona?!

Poskoczyłem ku niemu... Beranżera leżała wśród dzikich ziół i puszystych traw. Była tak sino-błada, że w pierwszej chwili sądziłem, iż umarła widzę... Uczułem, że dla mnie wszystko się skończyło, że ja jej nie przeżyję!...

Wypowiedziałem nawet głośno moją myśl.
— Pomszczę ją naprzód! Morderca umrze z
mej ręki!... Przysięgam!...

Ale hrabia, który ujął dziewczę za puls, za-
wołał:

— Ona żyje! oddycha!...

Istotnie po kilkunastu sekundach Beranżera
otworzyła oczy. Padłem obok niej na kolana i
unosząc prześliczną zboląłą główkę zapytałem:

— Jaką otrzymałaś ranę?... Co cię boli naj-
droższa?...

Cichutko szepnęła:

— Nie jestem wcale raniona... To wyczerpa-
nie... wzruszenie...

Nalegałem dalej:

— A jednak strzelał do ciebie...

— Nie... nie... to ja strzeliłam...

— Jakto? ty?!...

— Tak! ja — z jego rewolweru...

— Ale chybiłaś... Uciekł...

— Nie chybiłam... Widziałam, że padał... nie-
daleko stąd...

Hrabia rozpoczął poszukiwania, i po chwili
zawołał mnie, aby mi pokazać mężczyznę z twa-
rzą zbloczoną krwią, leżącego na ziemi nieru-
chome. Zbliżywszy się, poznałem Velmota. Nie
żył już.

o

ROZDZIAŁ IX.

Formuła Noela Dorgeoux.

Velmot zabity — Beranżera żyje!... Co za
szczęście!... jaka błogość w poczuciu pewności,
i bezpieczeństwa!... Czarne chmury pierzchnę-
ły!... Beranżera kocha mnie i będzie moją!...
Jednak ekstaza miłosnego szczęścia nie mogła
wygnać z mego mózgu myśli o formule Noela
Dorgeoux!.. Nowa radość!.. Formuła była u-
ratowana! przy pomocy zawartych w niej wska-
zówek uda się zrekonstruować ekran i dzieło
międzyplanetarnego porozumienia będzie mo-
gło być prowadzone dalej...

Beranżera przyzywała mnie ku sobie:

— On nie żyje... nieprawdaż?...

Intuicyjnie odczułem, że nie powinienem jej wyznać całej prawdy, więc rzekłem tylko:

— Nie wiem... nie znaleźliśmy go... widocznie zdołał umknąć...

Odpowiedź moja widocznie przyniosła jej ulgę... Biedactwo nie chciało mieć na swem sumieniu śmierci — nawet zbrodniarza!...

— W każdym razie jest ranny... Trafiłam go napewno...

— Odpocznij kochanie moje, i nie kłopotuj się już o nic...

Posłusznie pochyliła głowę na moje ramię... Była tak wyczerpana, że po minucie już zasnęła.

W godzinę później Beranżera, leżąc na swym łóżku, blada jeszcze bardzo, lecz uśmiechnięta — podawała mi dłoń, którą okrywałem pocałunkami. Byliśmy sami — żaden wróg już nam nie zagrażał, żadne widmo ponure nie czaiło się wśród ciemności. Nie było już nikogo, kto by mógł zniszczyć nasze szczęście.

— Zły sen prześniony... — wyrzekłem — nie ma już przeszkód pomiędzy nami!... Nie chcesz przecie uciekać odemnie, najdroższa?...

Spoglądałem na nią z głębokiem wzruszeniem nie wolnem od niepokoju. Moja droga dziewczyna stanowiła dla mnie jeszcze mimo wszystko tajemniczą zagadkę... Duszy jej nie mogłem przeniknąć i zrozumieć... Powiedziałem jej otwarcie. Teraz z kolei Beranżera popatrzyła na mnie swemi pięknemi oczyma, pełnemi smutku, szepnęła cicho:

— Tajemnica? zagadka?... Nie. Jeden tylko jest sekret...

— Możesz mi go powierzyć, Beranżero...

— Kocham cię...

— Zadrżałem z nadmiaru szczęścia.

— Kochasz mnie... kochasz... Czemuś tego nie powiedziała wcześniej?... Iluż nieszczęść mo-

glibyśmy byli. uniknąć?... Czemuś mi tego nie powiedziała?

— Nie mogłam.

— A teraz zdecydowałaś się, bo nie dzieli nas nic...

— Owszem — to samo, co nas dzieliło dawniej — dzieli i teraz.

— Co takiego?

— Mój ojciec!

Cichym głosem zapytałam:

— Czy wiesz, że ojciec twój nie żyje?

— Wiem.

— A zatem...

— Jestem córką Teodora Massignaca!

Wykrzyknąłem żywo:

— Beranżer! muszę ci wyznać jedną rzecz i zaznaczam odrazu, że...

Nie pozwoliła mi dokończyć:

— Nie mów nic więcej, błagam cię! **To** nas dzieli... Przepaść nie zapełnimy słowami...

Wydawała mi się tak osłabioną, tak wyczerpaną, że chciałem przerwać rozmowę, ale Beranżera sama nie pozwoliła mi odejść...

— Nie... nie — rzekła — nic mi nie jest... nie czuję się chorą... to tylko chwilowe osłabienie... A chcę, aby pomiędzy nami nie było żadnych nieporozumień, żadnych niewyjaśnionych faktów... Słuchaj, Wiktorynie...

— Może mi jutro opowiesz, Beranżero.

— Nie! nie jutro, tylko dzisiaj zaraz — oświadczyła nakazującym prawie tonem. — Pragnę otworzyć przed tobą duszę z całym zaufaniem. To jedynie może mnie uspokoić. Słuchaj:

Nie mogłem sprzeciwić się dłużej jej wraźnej woli. Wszak sam pragnąłem wyjaśnienia tego, co było dla mnie dotychczas niezrozumiałe, a przytem co za rozkosz patrzeć na nią i słuchać jej melodyjnego głosu...

Beranżera opłótła mą szyję ramieniem. Czułem tchnienie jej ust na mej twarzy...

— Pamiętasz... pamiętasz... wtedy w Enclos — po raz pierwszy... Od tego dnia zaczęłam cię

nienawidzieć i... uwielbiać jednocześnie... Tak! moja natura niezależna, trochę uparta buntowała się przeciw niemożliwości wyzwolenia się z pod uroku, który był powodem mych cierpień... i szczęścia zarazem... Poskromioną byłam, ale nie chciałam przyznać się do tego nawet sama przed sobą... Unikałam cię, aby zmorzona miłością wrócić znowu... i byłabym wróciła zupełnie, gdyby nie tamten straszny człowiek...

— Velmot! Czego on chciał od ciebie?

— Występował w roli zaufanego przyjaciela mego ojca... Czego chciał?... domyśliłam się tego dopiero po pewnym czasie... Zamierzał wedrzeć się w życie Noela Dorgeroux, aby ukraść mu tajemnicę wielkiego wynalazku.

— Dlaczegoś mnie o tem wszystkiem nie powiadomiła odrazu?

— Velmot kazał mi milczeć!...

— Któż cię mógł zmusić do posłuszeństwa?

— Zagroził mi, że w razie najmniejszej niedyskrecyi z mej strony — zabije cię!... A ja ciebie kochałam, Wiktorynie i bałam się o twoje życie. Tem silniej się lękałam, że Velmot prześladował mnie swą miłością, która we mnie budziła tylko wstręt i nienawiść... Znałam go... wiedziałam, że jest zdolny do zbrodni, że w razie potrzeby spełni swoje groźby... Milcząc płatałam się przez to w kłamstwie i zwolna stawałam się współniczką Velmota... a raczej współniczką ich obydwóch, bo w ciągu zimy zjawił się mój ojciec!.. Och! jakież ja mękę przechodziłam... Ten potwór, który ośmielał się mówić mi o swej miłości... Ten ojciec niegodny! Żyłam w ciągłej trwodze i wstyd mnie palił... podtrzymywała mnie jedynie nadzieja, że oni zaprzestaną swych podłych machinacyi, kiedy się przekonają, że nie prowadzą one do celu...

— O... zbrodni nie wiedziałas nic?...

— Nie!... nie!... na Boga nie!... tego nie przypuszczałam!... Gdybym była przewidziała!... krądzieny nie mogłam przeszkodzić, choć wyzuaje

— wiedziałam o niej... Ale zbrodnic!... morder-

stwo!... Nie! córka nie mogła o to podejrzывать najgorszego nawet ojca!...

— A co się stało wtedy w niedzielę, kiedy Velmot przybył do Enclos w czasie nieobecności Noela Dorgeroux?

— Tej niedzieli powiedział mi, że mój ojciec, zrezygnowawszy ze swego projektu, chce mnie pożegnać i czeka na mnie przy kaplicy na starym cmentarzu... Uwierzyłam mu i udałam się z nim razem na cmentarz... Po drodze przekonałam się, że Velmot skorzystał z nieobecności wuja pńskiego i porwał jeden z flakonów napełnionych błękitnym płynem... Wyrwałam mu flakon i rzuciłam do studni. Wówczas schwycił mnie za gardło i ogłuszywszy uderzeniem pięści w głowę, zawlókł do samochodu... Obudziłam się z omdlenia blisko garażu w Batignolles. Był to wieczór. Velmot kierował samochodem i nie zwracał na mnie uwagi. Po cichutku przysunęłam się do drzwiczek, otwierałam je i wyskoczyłam na ulicę... Samochód pomknął dalej... Hrabia i hrabina de Roncherolles, którzy przechodzili w tej chwili ulicą — podnieśli mnie i zabrali tutaj — do siebie. Nazajutrz z dzienników dowiedziałam się o zamordowaniu Noela Dorgeroux.

Beranzera ukryła twarz w dłoniach:

— Jakże ja wówczas cierpiałam... Uważałam, że jestem za tę śmierć odpowiedzialna. Oddałabym się sama w ręce policyi, jako winowajczyni, gdyby mi hrabiostwo w tem nie przeszkodziło... Wytłomaczyli, że obwinić siebie — to znaczy zgubić ojca, a tem samem unicestwić sekret wynalazku Noela Dorgeroux... Ten ostatni wzgląd zadecydował o mojem postanowieniu... Trzeba było naprawić złe, którego pominę mej woli stałam się przyczyną, należało walczyć z tymi, którym służyłam za narzędzie... Wiedziałam, że za portretem d'Alemberta mój ojciec chrzestny ukrył piśmienne instrukcje wyjaśniające istotę wielkiego wynalazku. Skoro tylko powróciłam nieco do sił, udałam się zaraz do Enclos, dokąd udało mi

się przybyć w przeddzień otwarcia amfiteatru. Chciałam się wówczas widzieć z tobą, wyznać ci wszystko! Okazało się jednak, że tylne wejście jest otwarte i że mogę dostać się do mieszkania ojca chrzestnego, nie zwracając niczyjej uwagi. I wówczas to spotkaliśmy się niespodzianie w gabinecie Noela Dorgeroux.

— Ależ dlaczego uciekałeś wtedy Beranżero — bez słowa wyjaśnienia?...

— Oddałam ci dokument... To wystarczyło...

— Fowinnaś była zostać, wytłomaczyć!...

— Nie chciałam, żebyś mi mówił o miłości... Nie można kochać córki Massignaca...

— A skutek twego postąpienia, najdroższa, był taki, że Teodor Massignac, który miał drugi klucz od tego pokoju, podsłuchiwał naszą krótką rozmowę, wyrwał mi dokument, stając się w ten sposób niepodzielnym posiadaczem tajemnicy mego wuja... Bałam się tak samo, jak i ty, że wynalazek może być unicestwiony, więc ustąpiłem... Nie mogłem dopuścić do walki, która niechybnie dla jednego z nas zakończyłaby się śmiercią...

Beranżera pochyliła głowę na piersi:

— Mój ojciec nie byłby ciebie zabił... Skądinąd groziło ci niebezpieczeństwo. To Velmot był groźnym naprawdę wrogiem, a tego ja pilnowałam...

— W jaki sposób?

— Przyjęłam gościnność w Pre-Bcny, ponieważ wiedziałam, że mój ojciec i Velmot mieszkali ubiegłej zimy w tej stolicy... Istotnie poznałam pewnego dnia automobil Velmota, pędzący od strony Bougival... Wkrótce wykryłam garaż, do którego ten łotr ze swym autem zajeżdżał. Schowałam się za węglem i postanowiłam go śledzić... Umieściwszy w garażu automobil odszedł, ale powrócił wkrótce w towarzystwie dwóch nieznanymi mi mężczyzn... Z kilku zdań ich rozmowy wynioskowałam, że po skończonem przedstawieniu porwali mego ojca, że więżą go na sąsiedniej wysepce na

Sekwanie i że Velmot użyje wszelkich środków, aby go zmusić do mówienia... Cóż miałam robić? Zawiadomić władze o zbrodniczym postępowaniu Velmota, to znaczyło — dostarczyć przeciwko własnemu ojcu nieodpartyh dowodów winy, to znaczyło — obrócić w niwecz dzieło Noela Dorgeroux... Przytem hrabiego i jego żony nie było w domu... Nie miałam się kogo poradzić... Błysnęła mi wtedy myśl... Pobiegłam do Błękitnej Gospody i zatelefonowałam do ciebie, prosząc o przybycie...

— Stawiłem się wówczas, Beranżero!...

— Jakto? byłeś wtedy w nocy w Bougival?

— zapytała zdziwiona.

— Ależ tak! naturalnie, że pośpieszyłem od razu na twoje wezwanie. Chłopiec wysłany przez ciebie czekał przed oberżą i zawiózł mnie na wyspę do domu Velmota, gdzie Velmot zamknął mnie w ciemnym pokoju... Stamtąd miałem możność obserwowania sceny rozgrywającej się pomiędzy Velmotem i twoim ojcem... Ledwie że mi się udało ująć cało... Doprawdy, Beranżero, że nie okazałaś zbyt wielkiej zřeczności...

Zdumienie odmalowało się na jej twarzy:

— Ja nie posyłałam żadnego chłopca... Nie wydalalam się wcale z Błękitnej Oberży. Czekalam całą noc i całe rano!... Ktoś widocznie podsłuchiwał naszą rozmowę telefoniczną. Ale kto?

— To zagadka! — odparłem, śmiejąc się — Velmot najpewniej miał współników w tej oberży i dowiedziawszy się, że mam przybyć wysłał tego chłopaka...

— Nie rozumiem jednak — czemu ciebie a nie mnie chciał wciągnąć w pułapkę?

— Prawdopodobnie uplanował sobie, że nazajutrz i ciebie pochwyci. Być może, iż uważał mnie za groźniejszego wroga i pragnął przetrzymać mnie pod kluczem, dopóki Massignac nie przemówi... A zresztą jakiegokolwiek były pobudki i motywy jego postępowania, pozostaną one dla nas nazawsze nieznane... W każdym razie następnego dnia...

— Następnego dnia — przerwała mu — udało mi się znaleźć łódź, w której popłynęłam do wyspy... Znalazłam ojca dogorywającego, ale mogłam go jeszcze uratować...

Teraz z kolei ja się zdumiałem:

— Jakto, to tyś go uratowała?! Zdołałaś przybić do brzegu, dopaść w ciemnościach Velmota i ugodzić go w chwili, kiedy miał wejść do mego więzienia?! To tyś go zatrzymała?!... tyś uwolniła Massignaca?!....

Pochwyciłem tę małą, drobną jakby dzieciną rączkę i ze wzruszeniem okryłem ją pocałunkami. Drogie, kochane stworzonko!... Więc i ona uczyniła wszystko, co było w jej mocy, aby obronić wynalazek Noela Dorgeroux...

— Opowiesz mi to szczegółowo, Beranżero... Mów dalej... Coś zrobiła z ojcem?...

— Zabrałam go do łodzi, a potem odwiozłam automobilem do Pre-Bony, gdzie starałam przywrócić mu siły...

— A Velmot?

Biedaczka! zadrżała...

— Nie widziałam go już później. Zobaczyłam go znówu dzisiaj rano... siedziałam w parku na ławce i czytałam... Wtem nagle on stanął przedemną. Chciałam uciec, ale zagroził mi drogę i rzekł:

— Twój ojciec nie żyje. Przybywam, aby cię zawiadomić o jego ostatniej woli. Wysłuchaj mnie...

— Nie wierzyłam mu. Widząc moją nieufność dorzucił zaraz:

— Przysięgam, że przybywam jako wysłannik twego ojca. Jako dowód niech ci służy fakt, że przed śmiercią powiedział mi, kto zna oprócz niego formułę Noela Dorgeroux... Powierzył ci tę tajemnicę w czasie swej choroby.

— To co mówił było zgodne z prawdą -- ciągnęła dalej Beranżera -- ojciec mój wtedy, gdy go pielęgnowała -- tutaj w tym pawilonie powiedział do mnie: „Beranżero, nie wiem co będzie... Możliwe, iż uniesiony pragnieniem zemsty zniszczę ekran w Enclos... Postąpiłbym

bardzo źle... Z góry więc chcę zapobiedz skutkom tego obłądnego czynu." I kazał mi się nauczyć formuły na pamięć... Nikt o tem nie mógł wiedzieć prócz mnie i ojca, bo przecież byliśmy wówczas sami. Uwierzyłam więc, że Velmot mówi prawdę...

— A zatem? — zapytałam go.

— Ostatniem jego życzeniem było, abys się podzieliła ze mną tą tajemnicą!...

— Nigdy! — wykrzyknęłam. — Pan kłamiesz! Mój ojciec kazał mi przysiąc, że nikomu nie powiem o tej formule... Nikomu!... z wyjątkiem jednego tylko człowieka na świecie...

Wzruszył ramionami i rzekł:

— A tym człowiekiem jest Wiktoryn Beaugrand. Nieprawdaż?

— Tak — przyznałam bez wahania.

— Wiktoryn Beaugrand słyszał ostatnie słowa Teodora Massignaca. I porozumiał się ze mną, a w każdym razie blizkim jest porozumienia.

— To niemożliwe!

— Proszę zapytaj go pani sama. Jest tam na górze — w starem zamczysku!

I śmiejąc się dodał:

— Tak! — wśród ruin przywiązany do drzewa. Życie jego w twojem ręku!... Ofiaruję ci jego życie wzamian za formułę!... Jeżeli odmówisz — Wiktoryn Beaugrand zginie!..

— I ja głupia uwierzyłam! nie przeczułam podstęp... Jak szalona pobiegłam do ruin... A o to właśnie chodziło temu niegodziwcowi. Opuustoszałe stare zamczysko — przedstawiało najpewniejszy do ataku teren. Skoro się tylko tam znalazłam — Velmot rzucił mi odrazu w twarz całą prawdę:

— Aha! — zawołał, obalając mnie na ziemię — wpadłaś w nastawione sieci, przepióreczko!... Wiedziałem, że się na to złapiesz!... Przecież myślałaś, że to chodzi o twego gagatka cacanego... wszak kochasz go co!?...

Pierwotnym jego i jedynym celem było wydobycie odemnie formuły przy pomocy gróźb

lub choćby i uderzeń... Ale nienawiść, jaką czuł ku tobie, gniew wściekły na mnie sprawił to, że na chwilę stracił głowę... Przedewszystkiem chciał się zemścić!... Och! nędznik!...

Przysłoniła znowu twarz rękami. Dygotała całym ciałem jak w febrze:

— Nędznik!.. nędznik!... — szeptała — ostatkiem sił walczyłam z nim... Udało mi się ugryźć go tak boleśnie, że musiał na chwilę wypuścić mnie z ramion... Zerwałam się i zaczęłam uciekać... Gonił mnie z rewolwerem w ręku... W chwili, kiedy mnie miał już pochwycić, zawadził nogą o kamień i przewrócił się... Wypadł mu wtedy z ręki rewolwer, który ja zaraz podniosłam... Skoro chciał znowu rzucić się na mnie — strzeliłam do niego...

Umilkła. To opowiadanie wyczerpało jej siły. Na twarzy malował się wyraz obłędnego przeżenienia:

— Biedna Beranżero — rzekłam — zawiniłam wobec ciebie... Ileż to razy oskarżałam cię w duchu, nie domyślając się, jak zacną, dzielną jesteś dziewczyną.

— Nie mogłeś mnie zrozumieć...

— Dlaczego?

Z bolesnym półuśmiechem wyszeptała:

— Jestem córką Massignaca...

— Nie mów już o tem! Poświęcałaś się zawsze i narażałaś na niebezpieczeństwa. Kocham cię... i ty mi duszę twą oddałaś w tym pocałunku wtedy w Enclos... Pamiętasz przecie? nie zapomniałaś?

— Nie zapomniałam niczego i nie zapomnę...

— A zatem zgadzasz się?...

— Jestem córką Teodora Massignaca — powtórzyła.

— Czy to jedyny powód twojej odmowy?

— Wątpisz o tem. Wiktoryni!

Po chwili namysłu podjął znowu:

— A więc gdyby los nie był uczynił cię córką Massignaca — to zgodziłabyś się zostać moją żoną?

— Tak!

Teraz wybiła godzina wyznania! Jakże szczęśliwym czułem się, że mogę jej to wyznanie uczynić!...

— Więc gdybyś nie była córką Massignaca... Beranżero — czy nie przychodziło ci nigdy na myśl — jak to możliwe, iż do Massignaca odnosiłaś się zawsze z taką obojętnością, a i on nie spełniał swych obowiązków ojcowskich?... Kiedy byłaś młodziutką dziewczynką — to sama myśl o powrocie do niego — napelniała cię przestraczem? Całe życie twoje, cała dusza koncentrowały się w Enclos... Serce twoje zwracało się ku Noelowi Dorgeroux... Czy nie sądzisz, że warto się nad tem zastanowić?... Wszak instynkt najsilniej przemawia w dziecku!...

Beranżera zatrzymała na mnie zdziwione wejrzenie swych cudnych oczu:

— Nie rozumiem.

— Nie rozumiesz, boś nigdy o tych rzeczach nie myślała... Zastanów się jednak, czy naturalnem jest to poczucie ulgi, jakie cię ogarnęło, kiedyś się dowiedziała o śmierci twego rzekomego ojca...

— Dlaczego mówisz — rzekomego ojca?!

— Dlatego — odparłem z uśmiechem — że nie widziałaś nigdy swej metryki urodzenia, a fakty, o których wspomniałem nie stanowią bynajmniej dowodu, żeś istotnie córką Massignaca...

— Nie masz jednak żadnego dowodu na to, że tak nie jest?!

— Kto wie? może i mam ten dowód...

— Co?!... masz dowód?!

— Nie inaczej!...

Policzki Beranżery zabarwiły się różową falą krwi, oczy jej płonęły podnieceniem:

— Wiktorynie! błagam cię! nie męcz mnie dłużej!... Jeżeli coś wiesz, to nie pozostawiaj mnie w tej dręczącej niepewności...

— Czy znasz pismo Massignaca?

Skłoniła potwierdzająco głowę. Wyjąłem z kieszeni list i podałem go jej.

— Czytaj, najdroższa. To jest list pisany przez Massignaca do mnie. Oddał mi go w chwili śmierci... Z początku przeczytałem tylko pierwsze słowa i odrazu zacząłem szukać Cię, Beranżero... Czytaj teraz ty i nie wątp o prawdziwość tych słów... Wszak to wyznanie z za grobu...

Wzięła z moich rąk list i przeczytała głośno: „Beranżera zna formułę i nie zdradzi jej nikomu innemu tylko tobie, Wiktorynie. Ożenisz się z nią nieprawdaz? Ona nie jest moją córką — to córka Noela Dorgeroux. Urodziła się pięć miesięcy po moim ślubie, o czym możesz się przekonać z aktów stanu cywilnego... Przebaczyć mi oboje i módlcie się za mnie...”

Zapanowała długa chwila milczenia. Beranżera płakała ze wzruszenia i uciechy. Ciężar wstydu i rozpacz, który przygniatał jej życie — spadł nagle z jej ramion. Mogła odetchnąć swobodnie, podnieść głowę śmiało do góry i sięgnąć po swoją część szczęścia i miłości.

Cichutko szepnęła:

— Czy możliwe?... Jestem córką Noela Dorgeroux... Czy możliwe...

— Nietylko możliwe, ale pewne. Po swej walce straszliwej z Velmotem Massignac, widząc z jakim poświęceniem i anielską dobrocią ratowałaś go — zaczął odczuwać wyrzuty sumienia... Chciał snać okupić swe zbrodnie napisaniem tego listu, który ze stanowiska prawnego nie ma żadnego znaczenia, ale dla nas obojga stanowi wystarczający dowód prawdy... Jesteś córką Noela Dorgeroux, Beranżero! córką tego szlachetnego, genialnego człowieka, którego kochałaś zawsze i który pragnął, abyśmy się pobrali... Nie będziesz się chciała chyba opierać jego życzeniu? Czyż nie jest to naszym obowiązkiem połączyć się i doprowadzić do końca jego przedsięwzięcie? Ty znasz niezbędną formułę. Podając ją do publicznej wiadomości utrwalimy nazawsze genialny wynalazek Noela Dorgeroux!... Czy pragniesz tego, Beranżero?...

Pozwoliła mi dość długo czekać na odpowiedź. Usiłowałem ją w dalszym ciągu przeko-

nywać... Uderzył mnie wyraz dziwnego rozczarowania i szczególnego niepokoju z jakim słów moich słuchała:

— Co ci jest, kochanie? Zgadzasz się, nieprawdaż?

— Tak, tak — rzekła — ale przede wszystkim muszę zaapelować do mej pamięci... Co za nieostrożność z mej strony, żem sobie tej formuły odrazu nie zapisała.. Ale ja ją przecież umiem na pamięć... Chociaż...

Czoło jej pofałdowało się, rysy twarzy drgały nerwowo... Nagle wykrzyknęła:

— Kartkę papieru!... i ołówek — prędko!... prędko...

Dałem jej to, czego żądała. Drżącą ręką nakreśliła na kartce mego notesu kilka cyfr... Potem urwała i spojrzała na mnie wzrokiem pełnym bezgranicznego lęku.

Zrozumiałem jej wysiłek mózgowy i starałem się ją uspokoić:

— Nie męcz się teraz... Przypomnisz sobie później.... Teraz trzeba ci wypoczynku.. uśnij, droga moja...

— Muszę sobie przypomnieć!... za wszelką cenę — muszę!...

— Przypomnisz sobie napewno... Teraz przeskądza ci nadmierne zmęczenie i zdenerwowanie.

Usłuchała i przymknąwszy powieki, starała się zasnąć. Po upływie godziny zbudziła się już i zażądała znowu papieru i ołówka... Po chwili wyszeptała z przerażeniem:

— To okropne!... mój mózg nie chce pracować!... O! jakże mnie boli głowa!...

Noc upłynęła wśród daremnych wysiłków. Gorączka trawiąca Beranżerę, wzmogła się. Nad ranem narzeczona moja straciła przytomność... W majaczeniach gorączkowych szeptała ciągle spalonymi wargami jakieś cyfry i litery. Choroba trwała tydzień. Przez tydzień obawialiśmy się o życie Beranżery, która cierpiała na straszliwe bóle głowy i usiłowała wychudłymi palcami kreślić na kołdrze jakieś znaki.

Skoro wreszcie odzyskała świadomość i zaczęła powracać do zdrowia unikałismy przez pewien czas drażliwego tematu rozmowy. Czułem wszakże, że ona nie przestaje myśleć o tem, że szuka w mózgu poszczególnych części formuły...

Nakończ rzekła do mnie ze łzami w oczach:
— Straciłam nadzieję, Wiktorynie. Przynajmniej ze sto razy powtarzałam sobie tę formułę i zdawało mi się, że mogę polegać na mojej pamięci... Ale teraz zatarło się wszystko... Jakby mi ktoś wyrwał z mózgu... Wprawdzie płaczą mi się pojedyncze cyfry i litery, ale niepołączone ze sobą, nie mogące żadnego dać rezultatu... Coś się w mojej biednej głowie zepsuło... Musiało się to stać wtedy, kiedy Velmot dławił mnie za gardło... Umysł mój powlekła jakaś dziwna mgła!... Niestety!.. ja sobie już nigdy nie przypomnę...

I nie przypomniawszy sobie W Enclos nie ponowiono już cudownych seansów. Obrazy nie pojawiły się na ekranie. Ekran Noela Dorgeroux pozostał szarym, zimnym, martwym murem... A jednak ileż w tym kierunku czyniono wysiłków... ile stworzono towarzystw naukowych, mających na celu jedynie odtworzenie formuły i eksploatacyę wynalazku zagubionego.

Napróżno!

Ekran, na którym mieliśmy sposobność oglądać przedziwne wizye — nie odbijały żadnych promieni — podobne oku ślepeca.

Byłoby to dla mnie i dla Beranżery męką ustawiczną, gdyby nasza wzajemna miłość nie łagodziła przykrych wspomnień.

Nie pobralismy się jeszcze zaraz, bo obawiałem się zwrócenia publicznej uwagi na tę, która legalnie nosiła nazwisko Massignac... Skoro mnie wysłano w misji politycznej na Wschód — sprowadziłem Beranżerę i tam w dalekiej ziemi połączył nas na całe życie ślub.

Często rozmawiamy o wielkim sekrecie Noela Dorgeroux. Smutek zawsze wówczas przesłania mgłą piękne oczy Beranżery.

— Zapewne — perswaduję jej — że zaginął cudowny wynalazek. Nie znałem w życiu nic bardziej wzruszającego od obrazów w Efclos... Mogły one tworzyć przed ludnością nowe horyzonty, których obecnie wyobrazić sobie nawet nie możemy... Kto wie jednak, czy należy tego tak bardzo żałować? Dokładna znajomość przyszłości — jest li ona istotnie warunkiem szczęścia ludzkiego? Może właśnie przeciwnie w równowadze umysłu utrzymuje nas fakt, iż zmuszeni jesteśmy obracać się w ciasnych granicach ziemskiego poznania! Nasza wiedza dostosowana jest do naszych sił umysłowych... Nie jest bynajmniej wskazaniem odcyfrowanie prawa, do których nie jesteśmy jeszcze przygotowani...

Benjamin Prevotelle nie ukrywa swego żalu i wzdycha ciągle za rozwiązaniem zagadki. Korresponduję często z tym człowiekiem wielkiej nauki, którego prace zdobyły sobie ogromny a zasłużony rozgłos. Między wierszami każdego listu odgaduję trwożne pytanie: „Czy ona sobie przypomina? czy możemy się spodziewać?...“ Niestety- moje odpowiedzi nie pozostawiają mu cienia illuzji: „Baranżera nie przypomina sobie niczego. Nie ludźcie się próżną nadzieją.“

Prevotelle pociesza się prowadzeniem ostrej kampanii przeciwko tym, którzy podają w wątpliwość wartość jego hipotezy. Stwierdzić należy, że od czasu, gdy ekran został zniszczony i nie można popierać teorii materialnymi dowodami, wzrosła niepomniernie liczba sceptyków i oponentów, którzy stawiają Benjaminowi Prevotelle'owi śmiało choć niezawsze rzeczowo uzasadnione zarzuty. Ma on jednak po swej stronie wszystkich ludzi dobrej wiary, rozumujących bezstronnie. Wiemy wszyscy, wierzymy i jesteśmy najmocniej przekonani, że chociaż przestaliśmy odbierać posłannictwa od naszych braci z Wenus, to jednak oni — **istoty o trzech oczach** czuwają nad nami równie bacznie i z tą samą namiętną ciekawością nas obserwują... Pochyleni nad nami za pomocą swoich udosko-

nalonych aparatów badają nasze życie, śledzą nas, żalują, liczą nasze bóle i rany, a niekiedy być może zazdroszczą nam, gdy w jakimś zacisznem ustroniu ujrzą dwoje kochanków, których oczy płoną miłością i usta łączą się w pocałunku...

KONIEC.



Biblioteka Śląska w Katowicach

ID: 0030001209167



II 1103849

